

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 30. Warszawa dnia 15 (27) Lipca 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu	na prowincyi w Cesarstwie i Królestwie.
rocznie . . . rs. 6 k. —	rocznie . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . „ 3 „ —	półrocznie . . „ 4 „ —
kwartalnie . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . „ 2 „ —
miesięcznie. . „ — „ 50	

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Złr. 10.
w Galicyi Złr. 11 cent. 50.—**w Prusach** roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EXPEDYCYĄ
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* **we Lwowie** *w Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; **w Krakowie** w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* **w Wilnie** u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

ALEKSANDER hr. FREDRO.

Gdzie życie z myślą splotły poezyi ogniwa,
Tam zasługa poety—jego cześć spoczywa.

Duch ludzki ma swoich przedstawicieli — społeczeństwa mają swoje wielkości, na które wieki składać się muszą. Takie wielkości, takie gwiazdy na horyzoncie wielkiej epopei świata naszego, skrzą się świetlanym blaskiem nie tylko za życia ale i po śmierci. Duch ich nie umiera dla świata jak życie fizyczne na skorupie ziemskiej;—długie lata i wieki przechowują go ze czcią, spowijając w szaty najdroższych wspomnień.

Takim duchem dla społeczeństwa naszego i potomności, jest Aleksander Fredro.

„Jam bardzo smutny, jam bardzo znużony
Dajcie mi spocząć przyjaciele moi.“

I spoczął Fredro! Bóg w niedościgłych wyrokach swoich przeciął tętno życia wielkiego pisarza obywatela... Ciało jego spowiła na wieki zimna mogiła — ducha — niespożyta pamięć i cześć zyjących.

W przeszłym numerze niniejszego pisma donieśliśmy czytelnikom naszym o śmierci tego Moljera polskiego, — dziś bierzemy pióro do ręki, ażeby złożyć hołd wielkiemu jego cieniowi — do czego powoduje nas obowiązek literacki i obywatelskie uczucie uwielbienia. Do szczegółowego rozbierania i rachowania się z życiem i dziełami wielkiego twórcy komedyi polskiej, nie czujemy się być w prawie; — rzecz to biografów i krytyków późniejszych, którzy ze szczebla właściwego czasu i wiedzy dopełnią takiego rachunku sumiennego.

Tu powtarzamy, chcemy złożyć prawdziwy hołd zasłudze wielkiego pisarza, który ukazywał nam rozliczne ścieżki ujemnego i dodatniego życia, który z prawdą i humorem, stawiał na tych ścieżkach postacie, wlewał w nie życie i tworzył dla społeczności swojej typowy kalejdoskop dramatyczny, w którym, jak w zwierciadełku sumiennie polerowanem, odpowiednie warstwy społeczne przeglądać, uczyć, bawić i śmiać się do rozpuku mogły.

Tu nakoniec, chcemy na świeżą mogiłę dorzucić jedno jeszcze wspomnienie, zroszone niekłamaną łzą żalu z pożegnania tego, który ukochał wszystkich, a którego wszyscy kochać powinni.

Aleksander hr. Fredro urodził się w Jarochowie pod Jarosławiem w ziemi przemyskiej roku 1793. Rodowód jego, jaśniejący licznym szeregiem wsławionych protoplastów, sięga jeszcze XIV wieku i bierze początek od Mierzbów, herbu Bończa. Prawnuk po kądzieli Elżbiety Drużbackiej znanej w literaturze naszej poetki — i prawnuk po mieczu Jędrzeja Maksymiljana Fredry znakomitego historyka i filozofa, oraz kasztelana lwowskiego, wojewody podolskiego i posła, który w roku 1679 zakończył sławny pracą około ogólnego dobra żywot, -- odziedziczył widocznie bożą iskrę talentu rozświecania ścieżek życia braciom swoim.

W chłopięcym jeszcze wieku, bo za ledwie w dwunastym roku życia, pióro jego uczuło już jakiś nieprzezwyciężo-

ny popęd do poezyi dramatycznej, z wielką łatwością skreśliwszy próbkę dramatyczną, w formie komedyjki p. t. „Strach nastraszony“ w której widniał błysk przysłego talentu.— Widać, że postać jego przeznaczoną była do stawiania bardzo wcześnie śmiałą nogą kroków życiowych, by tem głębiej poznać tajniki życia i wyrobić w sobie siłę obserwacyi, jaką nacechowane zostały utwory naszego pisarza, bo w r. 1809, czyli w szesnastym roku życia wstąpił w szeregi jedenastego pułku ułanów, formowanego wówczas we Lwowie. W dwa lata później został kapitanem tegoż samego regimentu, prowadzonego przez hr. Adama Potockiego. — Bił się dzielnie w kilkunastu bataljach—pod Baratowem, pod Mozajskiem, pod Smoleńskiem i Berezyną. Jako jeniec przeleżał w szpitalu wileńskim pół roku, skąd zbiegł przebrany za chłopca, by złączyć się z nowosformowaną w Dreznie armią Wielkiego Napoleona. Bił się więc wszędzie, — bił się pod Dreznem, Lipskiem, Hanau, Montmirail, Areis sur l'Aube aż do Fontainebleau. Nareszcie po abdykacyi Napoleona wziął dymisyę i zatrzymał się czas pewien w Paryżu.

Nowy podówczas Babilon dla dzielnego wojaka i młodego kapitana był niezmiernie ponętny — a szczególniej teatr paryzki zwrócił na siebie jego uwagę i wzruszył pierś przyszłego wielkiego dramaturga. Po powrocie wszakże do Lwowa wzruszenie to zatarło się na pewien czas, w którym jak najweselej rozrywany na wszystkie strony przez najpierwsze towarzystwa miasta i okolic, pędził żywot przyjemny elegancki kapitan ułanów. — Dopiero traf w postacie żydka antykwaryusza zrządził, że dzielny ułan chwycił za pióro. Usłużny bowiem żydek przywiózł mu pewnego razu tomik komedyj Moljera a ten tomik rozdmuchał przytłumioną okolicznościami iskrę talentu pisarskiego. — Po utworzeniu jednej i drugiej komedyi posypał się cały ich szereg z pod tego wdzięcznego pióra. Zaczął w roku 1821 dramatem „Clavigo“ z Goetego, w rok potem przedstawiono już na scenie Lwowskiej komedyą „Mąż i żona“.— Wroku 1824 grano „Pierwsza lepsza,“ „Pan Geldhab,“ „Cudzoziemczyzna,“ „Zrzędność i przekora“—w roku 1825 grano „List,“ „Damy i huzary,“ „Odludki i poeta,“ w dwa lata potem „Nikt mnie niezna,“ „Pan Jowialski,“ „Gwałtu co się dzieje“ i „Śluby panieńskie“—w roku 1828 „Przyjaciele,“— w r. 1833 „Dyliżans“ —w roku 1834 „Dożywocie“ i „Zemsta za mur graniczny“.— Oprócz tych niegrane: „Nowy Donkiszot“ i „Nocleg w Apeninach“. Zbiorowe wydania komedyi Fredry dokonane zostały kilkakrotnie. Najpierw we Lwowie wydano w roku 1826 dwa tomy, trzeci tom w roku 1834, czwarty w roku 1836, piąty zaś w roku 1838. Druga edycya tegoż wydawnictwa tomów pięć wyszła w roku 1853 — ostatnia zaś w roku 1871. — Zastanawiać się nad pojedynczemi dziełami twórcy komedyi polskiej nie będziemy w tem miejscu.—Ogólne o nich wyobrażenie każdy prawie posiada, bo większość czytała je i widziała na scenie; zwrócić się godzi wszakże uwagę na charakter pisarski autora, a tym jest indywidualna oryginalność.—Fredro nie miał szablonów, na wzór których by pisał, nie posiadał utartych formuł i formułek estetycznych, nie posiłkował się żadnym deseniem. — On wycinał od ręki, a życie, jedyną było skarbnicą, w której z takim talentem całą garścią czerpał prawdę, naukę życiową, dowcip i humor, pomagała mu niezmiernie trafna i silna obserwacya, jaką posiadał i jaką wyrobił w sobie dość prędko wskutek wczesnego rzucenia się w wir życia. Jednem słowem był to wielki mistrz co tkał złotą nitkę życia na kanwie poezyi. — Piękny ten haft ukazywał on światu w coraz to rozmaitszych deseniach przez lat 14 i byłby tę piękną pracę prowadził i dłużej ku szczerej pociesze bratniej, gdyby nie trucizna w postaci krytyki złośliwej i wstecznej, którą się pojawiła w r. 1835 w wychodzącym podówczas *Pamiętniku Powszechnym Nauk i Umiejętności* w Krakowie, a która na raz zdruzgotała lutnię dramatyczną naszego mistrza. Złośliwy krytyk zaprawiwszy żółcią swe pióro gwałtownie wymierzył przeciwko Fredrze cios zjadliwy stronniczy, dowodząc że komedye jego są bez żadnej głębszej myśli napisane, że są zbiornikiem pustych i luźnych frazesów i nakoniec, że im odmówić należy wszelkich cech i indywidualności narodowej. Krytyk ten podznaczony literami S. G. gdyby, był przewidział zgubne skutki swego świętokradztwa, może byłby powstrzymał pióro, lecz nie zastanowił się nad tem zapewne tak jak i dziś niejeden z krytyków nie zastanawia się, jak zgubne skutki sprawić może niejedna stronnicza lub ślepa rzeź krytyczna. Nasz mistrz ugodzony został w samo serce, bo w jądro przekonań o indywidualności i cechach narodowych komedyj swoich; ślepo i fałszywie zaprzeczono mu przymiotów które stanowiły jak to dobrze sam rozumiał, największą wartość prac jego. Mimo jednak że społeczeństwo nie podzielało wstecznych opinii złośliwego krytyka, że z entuzyazmem przyjmowało ulubione komedye, mimo że najznakomitsi artyści garnęli się do odtwarzania nakreślonych w nich kreacyj, a prassa wiła wieniec chwały dla zasłużonego autora, mimo to wszystko powiadamy, Fredro draśnięty boleśnie umilkł na zawsze i usunął się do ogniska domowego, by więcej na arenę publiczną nie wrócić by w cichym pochodzie życiowym przebiedz następne lat czterdzieści.

Lecz czemuż to uczynił? Czyż w obec uznania całego społeczeństwa dla którego tworzył,— czyż, powiadamy powinienbył Fredro ustąpić z pola, z takim pożytkiem uprawianego? Każdemu zapewne zdawałoby się że nie powinien. A jednak nam się zdaje, że sąd o tem tylko sam Fredro mógłbył wydać i wydał. Bo zastanówmy się. To niebył literat jak to mówią z profesyi—to był obywatel to był wojownik — w nim żołnierskie serce biło miłością obywatelską—kochał więc swoich jak obywatel kochać powinien, ale osądził postępek krytyka jak żołnierz—odrazu i stanowczo i jak żołnierz dotrzymał słowa. — Co do krytyka, ten może żałował tego co uczynił — powtórzymy więc z innymi „niech mu Bóg tego nie pamięta.“

Fredro, mimo że się usunął z areny pisarskiej, pozostawił jednak podobno tekę pełną prac, które zachował na czas pośmiertny. Rzewny to wieniec chwały, uwity z nie śmiertelników tryskających zapewne życiem i błyszczących talentem.

Raz jeszcze cześć twórcy komedyi polskiej i cicha łza po stracie jego!

* *

Pogrzeb ś. p. Fredry odbył się we Lwowie dnia 18 Lipca. O godzinie 10-ej z rana przeniesiono zwłoki z pałacu Fredrów do kościoła Ś-go Mikołaja, gdzie odprawioną została żałobna msza przez Arcybiskupa Lwowskiego przy odśpiewaniu *Reqviem* przez chóry

miejscowe. O godzinie 1-ej z południa pochód pogrzebowy wyruszył z kościoła. Trumnę poprzedzały zakony i bractwa oraz gromadka dzieci z zakładu Froeblowskiego — dalej za niemi postępowało stowarzyszenie rzemieślnicze „Gwiazda,“ młodzież drukarska, handlowa, akademicka, artyści sceny lwowskiej, rada miejska, wydział krajowy, prezydent miasta Krakowa, delegacya Krakowskiej Rady miejskiej, dalej Senat poprzedzony berłami Uniwersytetu Lwowskiego, Rektor tegoż Uniwersytetu, dalej przedstawiciele Akademii Umiejętności: dr. Antoni Małecki i St. hr. Tarnowski, nakoniec kler rzymsko-katolicki z celebratem Ks: Morawskim tuż przed trumną.

Po za karawanem na aksamitnej poduszcze niesiono ordery zmarłego, mianowicie: Order legii honorowej, Virtuti militari, medal Ś-ej Heleny, oraz wielki order Austryacki Franciszka Józefa. Pochód zamykał liczne grono publiki pomiędzy którą znajdowało się kółko osób niosących wieńce a delegowanych od rozmaitych korporacyj i kół lwowskich, jak sceny polskiej, Wydziału krajowego, literatów, akademickiej młodzieży, kobiet, drukarzy, młodzi handlowej, obywatelstwa etc.

Pochód stanął około 3-ej godziny u rogatek grodeckich skąd zdjętą trumnę, rodzina powiozła do Rudek, by złożyć drogie zwłoki w grobie familijnym. Przed zdjęciem trumny z karawanu dr. Małecki miał mowę, a orkiestra teatralna wykonała skomponowany przez Henryka Jareckiego na ten cel marsz żałobny pod przewodnictwem kompozytora.

Podczas obrządku pogrzebowego wszystkie zakłady publiczne, sklepy i. t. d. były pozamykane we Lwowie i uroczystość chwili nastrojoną była ogólną powagą żałobną.

Wieczny ci pokój mistrzu!

Feliks Ehrenfeucht.

ŚLADY ŻYCIA

Panna Deryng wystąpiła na scenie naszej między innemi i w *Helenie de la Seglier* w roli Heleny.

Wrażenie, jakie sprawiła grą swoją, pozwala wnioskować o niepospolitym talencie artystki tej do ról dramatycznych i komedyj poważniejszego pokroju. Atakowanie roli i w ogóle cała metoda, jaka w grze widnieje, dowodzą głębszego zastanowienia się nad sztuką i trafnego jej pojęcia. Metoda atakowania tego jest rozważna i powolna, co właśnie stanowi najwłaściwszą dźwignię w uwydatnieniu akcyi psychicznej. I rzeczywiście tam gdzie przeważa nastrój głębszy, bardziej psychologiczny, tam pana Deryng staje na właściwym artyzmowi swemu gruncie. Przeciwnie zaś, gdzie idzie o lżejszy nieco nastrój, o lżejsze momenty roli, o lżejszy jednem słowem pokrój akcyi, tam artystka chwiać się niby poczyna.

Zrobimy nawiasem uwagę że panna Deryng pracować powinna nad głosem swoim, by uczynić go więcej elastycznym, by tembr jego nabrał większego cieniu i nakoniec by mogła więcej nad nim panować. W ogóle panna Deryng stanąć może w przyszłości wysoko jako artystka dramatyczna przy szczerej i usilnej pracy, do czego nie zbraknie jej zapewne chęci i zamiłowania dla sztuki, a ku czemu ma przed sobą bardzo wiele czasu.

Jeszcze jedno — idzie tu o lepsze uformowanie układu ust, które ulegają maleńkiemu skrzywieniu na jednę stronę. Przy pracy da się to szybko naprawić.

* * *

Wznowiono w teatrze naszym „*Opiekę Wojskową*“ komedyą w 3-ech aktach nieodżałowanego pisarza i artysty dramatycznego ś. p. Stanisława Bogusławskiego. Trzech starych wojaków, każdy innego usposobienia i temperamentu, ale każdy dzielny co się zowie, z prawdą na ustach a szczerością w sercu, bawiło widzów i obudzało w nich miłe wspomnienie owych dawnych lepszych czasów, w których o serce i prawdę jakoś łatwiej daleko było.

* * *

Donosiliśmy poprzednio czytelnikom o wystawieniu na sprzedaż drogą licytacyi zakładów i kopalni Dąbrowieckich. Dowiadujemy się teraz, że licytacya ta odbyła się dnia 24 Czerwca w radzie ministryum dóbr państwa i do której stanęli tylko kapitaliści rossyjscy. Jako plus licytant utrzymał się p. Plemianników, kapitan pierwszej rangi marynarki, ofiarowawszy summę 1,300,000 rs.

* * *

Na odbytem w d. 25 Czerwca r. b. posiedzeniu akcyonaryuszów kolei żelaznej Warszawsko-Terespolskiej uchwalono fundusz na utrzymanie mającej się założyć szkoły technicznej na Pradze. Oprócz wyznaczonych 12 rs. z każdej wiorsty drogi, ma być wyznaczone z dochodu kapitału akcyonaryuszów co rok rs. 6,000 na ten cel.

* * *

Sześć prelekcyj Johna Tyndalla zawarte w dziele p. t. „Ciepło i Zimno“ przełożone zostało na język polski. Przekładu tego dokonała panna S. B.

* * *

W Kijowie mają być podobno otwarte ogólne kursa wyższych nauk uniwersyteckich dla kobiet.

* * *

Na zebranem zgromadzeniu obywatelskiem w Poznaniu uchwalono wniesienie petycyi do cesarza niemieckiego dla wręczenia jej pruskiej izbie panów, o zachowanie języka polskiego jako publicznego i urzędowego w Poznańskiem.

Podobne podanie podpisane przez 20,300 osób wysłano z Górnego Szlązka do sejmu pruskiego przeciw rozporządzeniu ministeryalnemu, odnoszącemu się do prawa o języku niemieckim.

* * *

A teraz łaskawi czytelnicy nasi przychodzi mi wypowiedzieć słów kilka *pro domo sua*.

Dzisiejsza kronika jest ostatnią kroniką „Opiekuna Domowego,“ bo niniejszy numer jest też ostatnim pisma tego numerem. Na właściwem miejscu Redakcya usprawiedliwiła już przyczyny zawieszenie wydawnictwa — o słusznych więc powodach jakie ją do tego skłoniły—ja osobiście nie potrzebuję się rozwodzić. Cóż mi więc powiedzieć przystało? Gdy oto opuszczać przychodzi siedzibę, w której się kawałeczek życia przebyło, chwyta za serce smutek, i żal się robi za każdym kątkiem, boć to świadek spędzonych w nim chwil naszych?... Przekonywać was o tem nie potrzebuję — każdy boć z was doświadczył nieraz tego w życiu zapewne. — Żal mi też szczery za wami w tej chwili, w której mi żegnać się z wami przychodzi... Gwarzyłem i o tem i o owem—nieżałowałem chłosty dla głupstwa i złej woli, ale nie skąpiłem dobrego słowa dla szlachetnych myśli i zacnych czynów — zachowajcie więc dobre o mnie wspomnienie — bo comkolwiek tylko czynił, czyniłem z miłością, z wiarą w postęp i w imię dobra społecznego.—Chciałem wam służyć jak najlepiej; jeżeli jednak nie tak było jak chciałem, to wybaczcie kronikarzowi swemu.

Na pewien czas zamilknę w pogawędce mojej, ale pocieszam się myślą, że spotkamy się z sobą niezadługo—że powitam was znowu w nowem piśmie, w „Tygodniku Powszechnym,“ który o ile wolno mi się domyślać, zajmie w prasie Warszawskiej stanowisko pokaźne.

A życzę tego nowemu pismu z duszy całej—ze względu na was czytelnicy łaskawie, na waszego sługę kronikarza i ze względu no wydawców z któremi kilkoletnie literackie moje stosunki—do najmilszych chwil w życiu liczyć sobie będę.

URYWEK Z PAMIĘTNIKA

przez

ADOLFA JANKOWSKIEGO.

Życie nasze — dziwną jest igraszką! Patrząc na kogoś, wydaje nam się, że żyje on cicho, spokojnie. A jednakże, któż zliczy, ile to burz wstrząsnęło życiem jego, — ile wiatrów przeciwnych — rzuciło kadłubem okrętu na rafy podwodne, luzując moc i spójność wiązań i osnowy statku, co bez busoli — puścił się na głębie.

Któż wypowie, ile to buntów podniosła — harda dusza, przeciw niewidzialnej, ciemiężącej potędze, co się koniecznością losu zowie a która tak przykówa nas nie jednokrotnie do taczki życia, — że chociaż widzimy na drodze którą postępować mamy, — bruzdy i kamienie — o które bose nogi nasze się rozedrą, ani ominąć tychże, ani przeskoczyć ich nie możemy.

Dalej — i dalej, — chociaż pierś wzdyma się bolesnie, że dopiąć nie możemy upragnionego celu za którym na próżno gonimy; że szczęście — tak przed nami ucieka, jak— fata morgana przed wzrokiem podróżnika.

Rzadko z nas który dobije się cało do portu, rzadko który, przypłynie tam zdrowo i wyniesie nad brzeg — z podróżnego tłumoczka, — nie tknięte zapasy nadziei i ufności, z któremi kiedyś w podróż się wybierał,

Wieluż to znowu — jeśli i dobić się zdoła szczęśliwie nareszcie do końca podróży, z zapasów tych — wysadza na ląd zaledwie połamane okruchy, które nawet wyobrażenia nie dają — czem całość była niegdyś.

I cóż dziwnego, że uciekamy się wtedy do wspomnień przeszłości, jeśli znaleść się w niej spodziewamy, niepamięć chwili obecnej, uciskającej nas, jak kajdany uciskają nogi galernika.

I cóż dziwnego, że tylu niże ziarnka świętego wspomnień rożańca, na złotą nić Aryadny, którą — omotane były pierwsze chwile dzieciństwa naszego.

Z wspomnień tych różnorodnych, najdłużej jednakże w pamięci chowają się i najciekawsze dla nas są te, — które słyszeliśmy z ust — ojców naszych opowiadane.

Dla tego też, powtórzę tu, jak mi raz ojciec określił kilka dobrze znanych postaci które ongi gościły w starożytnym grodzie książąt mazowieckich, łącząc wspomnienia swoje z osobistemi wypadkami przed 70 letniej — węgierskiej służby wojskowej.

— Warszawa zaczął więc ojciec, wiele dziwnych rzeczy widziała na początku bieżącego stulecia, a gościli w niej kolejno, — i zwycięzcy i zwyciężeni.

Bawił tedy i Napoleon 1 na cześć którego — ulica Miodowa, zwała się czas jakiś ulicą — Napoleona, — i antagonista jego polityczny, król Ludwik XVIII, burbon prawdziwy, głowa legitymistów francuzkich.

Ludzie starsi, zamieszkali z dawna w mieście naszem, przypomną sobie zapewne, że Ludwik XVIII, bawił tu w pierwszych latach wieku bieżącego — jako emigrant, i wraz z dworem swoim prywatnym, mieszkał czas jakiś w domu należącym kiedyś do Radcy Stanu Symeona Wernera, tam gdzie obecnie wznosi się na Krakowskim Przedmieściu, wspaniały gmach resursy obywatelskiej.

Król, gościł w Warszawie, wraz ze starszym synem który bawiąc z ojcem swym w Toulonie, i wykształcony w tamecznej szkole artyleryi, stanął w 1792 r. w Niemczech na czele wychodźców francuzkich, a w lat siedm następnie pojął w małżeństwo Maryą Teresę — córkę nieszczęśliwego, gilotynowanego Ludwika XVI.

Król Ludwik XVIII, był bardzo otyły, i jak powszechnie utrzymywano — miał strusi żołądek. Przy dobrem apetycie, pół kopy jaj gotowanych, mógł spożyć na śniadanie. Był on też przykładnie gorliwym katolikiem i dla tego gdy kościół Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności styka się z owym domem, ku wygodzie zatem króla, urządzono w kościele lożę łączącą się korytarzem z mieszkaniem królewskim.

Apartamenta królewskie wychodziły na obie strony domu frontowego a jeden pokoj w nich z widokiem na Wisłę, miał podłogę z polerowanej stali, i wszystkie ściany lustrzane. Że zaś był on przytem wielokątny, stąd, gdy liczniejsze było zebranie goszczących, a zapalono światła w trzech żyrandolach z których większy wisiał na środku a dwa mniejsze po bokach, pokój ten cudny przedstawiał widok.

A patrząc na lustra wydawało się jakby ciągnął się w anfiladzie rząd nieprzerwany pysznie oświetlonych salonów, coraz bardziej malowniczych i napełnionych nieprzeliczonym tłumem osób, których postacie stopniowo zmniejszały się, aż do mikropijnych prawie rozmiarów.

Za dnia znów, z powodu szeroko przed oczami roztoczonego widoku na Pragę, cała nadwiślańska okolica, powtarzając się setne razy w lustrach, tworzyła jakąś fantastyczną pejzażową mozajkę.

Nie małą ozdobę apartamentów królewskich stanowiły też obrazy mistrzów włoskiej i flamandzkiej szkoły, których tam pełno było, bogate meble starożytne, oraz barwne, kosztowne makaty i gobeliny.

W liczbie wybitniejszych postaci z bliskiej epoki pobytu Ludwika XVIII w Warszawie, wymienić tu muszę Pinetego, rozgłośnej sławy magika.

A nie wspominałbym o nim, mówił ojciec żeby nie osobiste wrażenie, jakie na mnie uczynił, kiedym go raz pierwszy spotkał niespodzianie w salonie wiejskim referendarza Zaleskiego, ojca mego chrzestnego.

Referendarz, na rok przed zapoznaniem się mojem z Pinetim, w towarzystwie żony i dzieci podróżował po zachodniej Europie, i powracając do kraju, zatrzymał się w jednem z miast nadreńskich.

Wszystkie austerye, zastał on zajętemi i zaledwie z największym trudem, przebojem prawie, w jakimś małym zajezdzie, udało mu się zdobyć dwa maleńkie pokoiki.

Brakowało tam wszystkiego, co podróżnemu nieodzownie jest potrzebnem: — ale, że to jak przysłowie niesie:

„Na bezrybiu i rak ryba.“

trudno było przebierać i zgodzono się że w pierwszym pokoju od wejścia staną mężczyźni, w drugim zaś kobiety.

Pora była spóźniona skoro zatem zniesiono posłanie, pani Zaleska zabrała córki i powiedziawszy mężczyznom „dobranoc“ zamknęła pokój i udała się na spoczynek.

Referendarz zaś — dawał jeszcze ostatnie rozkazy ludziom na dzień jutrzejszy, i dla tego nie kładł się czas jakiś — siedząc w szlafroku.

Wtem, ktoś obcy; delikatnie raz i drugi zapukał do pokoju.

Entrez! zawołał Referendarz i z wielkiem zdziwieniem ujrzał w otwartych drzwiach — pulchnego tłustego oberżystę.

— *Gnädige Herschaft*, — rzekł ten ostatni, — kłaniając się z pokorną minką i zaambasarasowany — gniótł w ręku fartuch biały; *gnädige Herschaft*..,

— I cóż *gnädge*? zawołał referendarz niecierpliwie.

Oberżysta widząc niezadowolenie p. Zaleskiego, złożył dłonie i przepraszając za zbytnią śmiałość i natręctwo — rzekł:

Gnädige herschaft, — w tej chwili przybył do austeryi — jakiś możny pan, który w całem mieście, nie mógł znaleść dla siebie pomieszczenia, gdyż jutro trzeba panu wiedzieć, dodał z pewnem zadowoleniem, odbywa się u nas uroczystość strzelecka, i dla tego taki natłok po austeryach.

— Cóż mnie to wszystko może obchodzić!.. ofuknał porywczo referendarz! — ja tu przecież nie przybyłem zabierać wam z przed nosa nagród.

Tak *gnädige Herschaft*, jąkał pękaty oberżysta, nie mogąc słów przełknąć;.. ale.. ten pan...

I cóż u dyabła!.,. Kończże raz wasan!..,

— Otóż, ten pan nie mając gdzie pomieścić się, przysyła mnie prosić czcigodnego pana o gościnność dla siebie.

— Mnie!... Czyś zwaryował!.. A dajże mi pokój — mosanie — i wynoś się , na cztery wiatry — wraz ze swoim protegowanym.... krzyknął referendarz, zabierając się zatarasować drzwi za przelęknionym i cofającym się niemcem, gdy w tem uczuł że drzwi poruszyć się nie dadzą,

— Wszystko tu jak widzę doskonałe w tej dziurze, — zawołał — nawet drzwi zardzewiałe które zamknąć się nie dadzą.

I na nowo mocować się zaczął aby drzwi zatrzasnąć. Podniosłszy jednakże wzrok na oberżystę, ujrzał za plecami jego, wysokiego nie młodego już bruneta, który z grzecznym ukłonem zdjąwszy kapelusz, rzekł włoskim akcentem.

— Próżne usiłowania szanowny panie, nic tym drzwiom nie poradzisz.

— Jak to, — ja!

I oparłszy się o drzwi plecami chciał siłą, przemódz ten niepojęty ich opór a w końcu rozgniewany z gorączkową niecierpliwością zawołał:

— Djabeł — czy Pineti, trzyma te drzwi w swojej mocy!

— Chyba ten ostatni — odrzekł uśmiechając się nieznajomy.

Słowa te zwróciły uwagę referendarza; przestał się mocować a gdy oberżysta miętosząc fartuch, stał jeszcze w progu z otwartemi ustami, wpatrując się w nowo przybyłego, referendarz poznawszy twarz Pinetego z licznych stalorytów, które po Europie kursowały podając mu rękę — rzekł:

— A — jeśli tak, to bardzo proszę do naszego towarzystwa, z panem najlepiej podobno żyć w zgodzie.

— I ja tak myślę — odpowiedział magik uśmiechając się i uścisnąwszy serdecznie podaną sobie dłoń wszedł do pokoju.

Ucieszony zaś przbyciem do austeryi swojej tak znakomitego gościa, — oberżysta, pobiegł zaraz spiesznie aby, zbudzić całe miasto, i zwiastować mu radosną dla siebie nowinę.

Tymczasem referendarz, przedstawiwszy siebie i synów Pinetemu, zawołał lokaja i kazawszy podać z podróżnego puzderka, parę butelek dobrego wina, zasiadł z Pinetim do interesującej pogawędki i ani się spostrzeżono jak dzień w oczy zaświtał.

Dzień letni bardzo był piękny, zaproponowano zatem przechadzkę w góry o wschodzie słońca, i gdy wrócono z takowej, panie uwiadomione już przez sługi o przybyciu Pinetego, ubrane czekały na niego ze śniadaniem.

Nastąpiły wzajemne rekomendacye i przedstawienia. A że pani Zaleska dosyć młodą jeszcze była mimo dorosłych już dzieci, a dystynkcyą jednała sobie wszystkie serca, nic dziwnego zatem że Pineti, przyjemną do rozmowy znalazł towarzyszkę.

Referndarstwo oboje szczerzy byli i serdeczni; córki ich nadobne, a Pineti, — jak wieść niosła, bynajmniej nie należał do ludzi nieczułych na urodę niewieścią, przepadał kiedyś podobno — za pięknemi kobietami.

Rozstając się zatem z referendarstwem zaproszony przez nich aby przybywszy do kraju naszego, domu ich w pobliżu Warszawy położonego nia opuścił, chętnie przyrzekł zadosyć uczynić zaproszeniu temu, i w istocie w rok potem umyślnie z Warszawy do Dąbrówki zawitał.

Sądzono już że Pineti danego przyrzeczenia zapomniał i nikt przybycia jego nie spodziewał się, zebranie jednakże w domu referendarstwa z powodu imienin pani Zaleski było liczne, a goście zjechali się na objad już o południu.

Łatwo tedy, wyobrazić sobie ukontentowanie powszechne, skoro niespodzianie zameldowano Pinetego.

Zrobiło się chwilowe zamieszanie, a dzieci nawet z radości zaczęły klaskać w ręce.

Dowódczynią ich, była malutka Alfonsyna, sześcioletnia córeczka referendarstwa, która nasłuchawszy się opowiadań rodziców, o cudownych jego sztukach, wyobrażała sobie że magik pokazywać im będzie niestworzone rzeczy.

Ale Pineti wszedł do salonu poważnie, oddał wszystkim głęboki ukłon, pocałował gospodynię w rękę, i zamieniwszy z nią, uprzejmych słów parę, zwrócił się dla powitania gospodarza i zaczął rozmawiać o polityce, która wszystkie wówczas głowy zaprzątała.

Dzieci, spodziewały się czego innego od magika a widząc teraz surową powierzchowność jego i ogniste spojrzenie cudzoziemca, lękać się go zaczęły cokolwiek.

Jedna tylko Alfonsyna niespuściła z tonu i z dobrą minką zbliżywszy się do matki, — ciągnąc ją za suknię rzekła:

— Mamuniu kochana, jaki też to niegrzeczny ten pan Pineti.

— Niegrzeczny?... I dla czegóż to Alfonsynko.

— A bo proszę mamy, siedzi tylko przy papie i gada z temi panami, a o nas zupełnie zapomniał... Mamuniu, czy on nam żadnej sztuki nie pokaże?

— Wątpię bardzo!...

— Ależ mamusiu ja chcę koniecznie — aby on nam jaką sztukę pokazał... Niech go mama o to poprosi.

— Nie można tego robić moje dziecko; nie wypada. — odpowiedziała krótko matka, sądząc snać zbytecznem wdawać się w jakiekolwiek dalsze wyjaśnienia.

Rozmowa ta, prowadzoną była pół głosem na drugim końcu salonu, Pineti — doskonale widział jednakże głęboko strapioną minkę Alfonsyny skoro opuściła matkę, i chociaż zajęty był w męzkiem kole żywą dyskusyą polityczną, domyślił się powodów tego zmartwienia.

Gdy więc Alfonsynka zbliżyła się ku niemu po chwili przebiegając pokój, schwycił ją za rączkę i zatrzymawszy, zaczął przedstawiać łagodnie, że żadnej sztuki swojej nie pokaże dziś dzieciom dla tego, że nie ma ze sobą odpowiednich przyrządów.

Ale gdy się ku niej nachylił chcąc na załagodzenie smutku — pocałować ją w czoło, odchyliła mu się klapa od fraka i z bocznej kieszeni takowego, wyjrzała krótka hebanowa laseczka, jakiej zwykle przysztukach swoich — prestidigatorzy używają, — a dziecko, śmiałą rączką uchwyciwszy za nią zawołało.

Pan mówisz że nie masz nic ze sobą;... a to co jest? zapytała go wydobywając z zanadrza magika — nieszczęśliwą laseczkę.

Matka widząc niedyskrecyą córki — zarumieniła się, ale całe towarzystwo śledząc oczami magika, dostrzegło rezolutne znalezienie się Alfonsynki i homerycznym wybuchło śmiechem.

Pineti, podchwycony tak niewinnie przez dziewczynkę, sam się też roześmiał — i przestawszy już dłużej opierać się jej naleganiom, kazał służącemu przynieść do pokoju koguta.

Lokajowi tak dziwnem wydało się to polecenie magika, że zapytał zdziwiony.

— Jak to!... pan każe przynieść koguta?

— Nie inaczej mój kochany,... koguta żywego jak ty...

Służący mając powtórzony, rozkaz, skłonił głowę w milczeniu i wyszedł spełnienić polecenie.

A tymczasem Pineti, zbliżywszy się do jednej z dam w salonie, która niedawuo wstała od fortepianu, prosił ją aby usiadła powtórnie i razyła mu zagrać kontredansa.

W tej chwili też wrócił i służący z kogutem puściwszy go na posadzkę. Pineti — podczas przegrywki kontredansa, dał znak laseczką kogutowi, a kogut stanąwszy natychmiast wyprostowany w trzeciej pozycyi, zaczął z nim tańczyć całego kontredansa.

Tysiąc pociech, rzekł do mnie ojciec, było patrzeć jak biedne kogucisko szastało się i krygowało po salonie stojąc vis a vis Pinetego, — jakie robiło entrecha, zwroty i piruety; jak wypracowywało nogami wszystkie chassé i balancé, — nie zmyliwszy się ani razu, posłuszne prestidigtorskiej laseczce Pinetego. A gdy magik skończył kogut z przeraźliwém ku-ku-ryku, wyskoczył z salonu do przedpokoju.

Zdawało się że szatan przez drzwi go przesadził.

Widziałeś u mnie na portrecie Pinetego, dodał ojciec opisywać go za tem nie mam potrzeby i to ci tutaj tylko nadmienię, że żaden obraz, nie da ci wyobrażenia o jego czarnych ognistych oczach które paliły się w głowie jak dwa rozżarzone węgle.

Obaj ci włosi, — Pineti i Paganini jak wiesz byli współczesnymi sobie. O ile zaś każdy sprzypek chciałby być Paganinim; otyle znów żaden z magików po wyższy tytuł nie sięgał, jak nazwać się uczniem Pinetego.

Dostatecznem to było, dla zjednania sobie sławy.

Matka moja wyjechała raz za ważnemi interesami do Wiednia, w lat parę — po bytności w Warszawie Pinetego i zetknąwszy się tam z nim opowiadała mi o magiku następujące zdarzenie które nie mało ubawiło wiedeńczyków.

Sina Ojciec, i dwóch innych tamecznych bankierów, zasłyszawszy o przybyciu magika, ułożyli się że razem pojadą zaprosić go do siebie.

Żeby zaś przyzwoicie pokazać się, narządzili sobie po sto dukatów w rulonach złota i włożyli je do kieszeni.

Jeden tylko z nich znany dusigrosz, uczynił to, zmuszony przez żonę a koledzy, widząc jak skąpy, swój rulonik z którego połowę jeszcze wycofał w ostatniej chwili, chowa z widoczną boleścią do kieszeni, — śmieli się z niego serdecznie.

Pineti, zwyczajem swoim zajmował w skromnym hotelu, nie zbyt wykwintne mieszkanie, złożone z salki, pokoju sypialnego i przedpokoju.

W sypialni stało łóżko za kotarą i najkonieczniejsze sprzęty: — w saloniku biórko zawolone listami i gazetami, oraz fortepian i niewyszukane meble mahoniowe; a w przedpokoju — prócz perskich firanek w oknach, krzeseł na około i zawieszaków przybitych na politurowanej listwie do ściany, nic więcej nie znajdowało się. Skoro bankierzy zadzwonili, — Pineti sam im drzwi otworzył. W salonie zeczęła się między nimy wesoła pogadanka o różnych potocznych przedmiotach a przy tąkowej bankierzy starali się unikać przez delikatność, nawet wzmianki jakikolwiek związek z prestidigitacyą Pinetego mającej.

Korzystając jednakże z tego że rozmawiając z nimi kręcił się on po pokoju, a przy rozmowie, wydobywał z szuflad różne sztychy kamee oraz prezenta znakomitych osób, zbliżali się kolejno do biurka i każdy z nich

rulon swój nieznacznie włożył mu pod papiery.

Pineti na pozór, manewrów tych z pieniędzmi niby nie widział, uważał jednak dobrze co się dzieje, i jak ów skąpiec podsuwając rulonik z dukatami, ciężko westchnął, żałując tak znacznej straty.

Że zaś magik — przy rozstaniu, obiecał odwzajemnić się im wizytą, nie pozostawało zatem bankierom, jak pożegnawszy go opuścić pokój. Pineti — zajęty był — gdy weszli pilną jakąś robotą przy której go zastali; przeprosił ich zatem uprzejmie — że im dalej nie towarzyszy jak do przedpokoju potrzebując pospieszyć się, i skoro zatrzymali się tam dla włożenia na siebie — zwierzniego odzienia zniknął w otwartych drzwiach salonu.

Skoro jednakże jeden z bankierów, będąc już ubranym do wyjścia, stanął przy drzwiach chcąc klamkę otworzyć, klamka ta usunęła mu się z ręki i drzwi znikły bez śladu. Bankierzy zdziwieni spojrzeli po sobie.

Wistocie był to ten sam pokój przez który niedawno przechodzili, gdyż znaleźli w nim rzeczy swoje. Były tam nawet w oknach tesame firanki perskie, kolorowe, które wchodząc zauważyli.

— Ale gdzież u licha drzwi się podziały, mówi ów bankier co ubrał się najpierwszy Dalibóg — głupieję!... Żywy przecież jestem i czułem że klamkę trzymałem w ręku....

— Oo i cóżby się z nią stało? — zawołał drugi.

— Alboż ja wiem!...

— Nie zaprzątajcie sobie głowy — moi kochani, — wtrącił trzeci wciągając na siebie zwierzchni surdut, — to widoczny figel Pinetego.

— Dobrze ale dokąd że tu stać będziemy na próżno? — Ja spieszę się i nie mam czasu, — odezwał się pierwszy.

— I mnie pilno na giełdę...

— Ech ten żart — zaczyna mnie już niecierpliwić, rzekł z kwaśną miną skąpiec, — za drogo zapłaciłem za to, — dodał z ubolewaniem, — aby mnie jeszcze Pineti w dodatku przed drzwiami trzymał.

Koledzy jego tymczasem chodzili na około pokoju, sztukając w mur laskami.

Ale — gdzie uderzą głuche tylko odpowiada im echo grubego muru i nareszcie spostrzegli że nie tylko drzwi gdziś zniknęły im z przed oczu, ale nawet wszystko — co w pokoju znajdowało się, jak krzesła, firanki i zawieszaki.

I gdy śmiejąc się z tego figla na środku stali,—rozzłoszczony skąpiec krzyknąwszy:

— A — już tego nie wytrzymam dłużej, zasztukał do zamkniętych drzwi saloniku.

Pineti—wstał natychmiast z miejsca i otworzył udając wielkie zdziwienie, a nie widząc niby rozgorączkowanej twarzy skąpca—zapytał uprzejmie:

— Jak to, panowie jeszcze tu?...

— Tak panie—z łaski pańskiej, nie możemy do drzwi trafić.

— Ależ szanowny panie, — nic nad to łatwiejszego, — ot drzwi, tam są, i skoro drzwi otworzył rzeczy zjawiły się natychmiast za jego ukazaniem w przedpokoju.—Poszedł więc przodem przed nimi i sam ich na schody wyprowadził.

Gdy rozstawali się wszakże ze sobą wśród wzajemnych ukłonów, skąpiec szepnął koledze do ucha:

— Tak teraz są, ale czemu ich tam wprzódy nie było.

— Cicho!—odszepnął kolega, — słyszał cię niezawodnie...

— Wielkie rzeczy!.. No i cóż mi zrobić może?

— Zobaczymy!—odparł kolega.

I w samej rzeczy, skoro stanęli na schodach, zabawniejsza jeszcze nastąpiła scena.

Na raz, zdało się pierwszemu;—że wesoło ucztuje w gronie rodziny i przyjaciół i ma udać się wkrótce z nimi, do sali tańców, — skąd już dochodzi odgłos introdukcyjnego walca.

Drugi znów wyobrażał sobie, że tylko co powrócił z polowania.

Ale jest bardzo znużony i potrzebuje wypoczynku. Siada zatem na schodach i szybko zaczyna rozbierać się z odzieży, aż do ostatniej bielizny.

Najgorszem jednakże było położenie ostatniego,—owego skąpca — gdyż wydało mu się, że stał niby nad skrajem groźnej przepaści, i zupełnie z sukien obnażony mając tylko powróz na szyi. — I znajdował się zupełnie w mocy czerwono-skórych.

A dziki, z piórami na głowie, który go krótko trzymał za powróz, wytrzeszczał na niego straszne oczy i czekał tylko skinienia kacyka, aby go strącić w przepaść, — której czarna, bezdenna czeluść, otwierała się przed jego oczyma. Krzyczał więc nielitościwie:

— Miłosierdzia!.. Ratuku!..

Ale — odpowiada mu głuche echo skał nagich, a dziki ściska coraz mocniej powróz na szyi, i czuje już obrzydły oddech jego na sobie,—śmierdzący wiatrem—jak dzikiego psa, i widzi te straszne — krwią zabiegłe białka oczów, przypatrujące mu się z szatańską radością.

— Ratunku!.. Miłosierdzia, woła zatem raz jeszcze ochrypłym głosem.

Ale kacyk z wielką fajką — jaskrawo upstrzoną, na znak—wysokiej jego godności—ubraną w pióra Kakadu, siedzi z wielką powagą na niewyprawionej skórze tygrysa i wydał już fatalny rozkaz. A biedny bankier, czując pod nogami próżnię, leci w przepaść roztrącając się bokami o ostre jej szczyty, i bliskim jest zemdlenia.

W tem, — dochodzą go jakieś zmięszane odgłosy.

To goście hotelowi i cała służba, którzy na zgiełk i hałas niesłychany — jaki wszyscy trzej robili na schodach, — zbiegli się z rozmaitych kątów, przekonać się—co się stało,—a wraz też, ujrzano — i ciekawą twarz Pinetego—wychyloną z drzwi przedpokoju.

Ale—lubo wszyscy trzej—ciekawe ze siebie dawali widowisko, gdyż jeden z bankierów, rozebrany leżał i wyciągał się niewygodnie na schodach, — a drugi, zapalczywie machał rękami, rozprawiając coś ze sobą — najzabawniejszym atoli był widok owego skąpca.

Stojąc bowiem, na wierzchniej krawędzi schodów — spocony i czerwony jak upiór krzyczał jeszcze na całe gardło:

— Miłosierdzia!.. Ratunku!..

Skoro Pineti drzwi otworzył, wszyscy trzej oprzytomnieli zaraz, widząc się przecież w tak dziwnej pozycyi na schodach, żaden z nich nie umiał objaśnić powodów tego nieporządku i hałasów.

Skąpiec jednakże—spostrzegłszy Pinetego—zawołał:

— Ach, dziękuję panu za nauczkę, — stokrotnie dziękuję!.. ale już mam dosyć tych wszystkich żartów.

I potrącając skąpromitowanych jak i on—kolegów, a przesadzając po kilka schodów na raz, zbiegł na dół i wpadłszy do bramy, wskoczył do czekającego nań powozu—i zniknął na zakręcie ulicy.

A Wiedeń?... Bawił się tym komicznym wypadkiem, — cały tydzień następny.

* *
*

Ojciec mój, urodził się w Tarnowskim okręgu Galicyi—i wstąpił do służby wojskowej—nie mając jeszcze lat piętnastu. Pierwszego zaś oficerskiego stopnia, dosłużył się w węgierskim pułku Kajzer huzarów.

Świetny to był pułk!

Zaszczytne—sławy i insygniów zdobytych—dźwigał znamiona, — a ojciec rozpowiadał często;—że gdy pułk kwaterą stał w którem z miast pomniejszych, respekt dla niego był wielki.

Mundur okazały, bogato szamerowany; — konie dzielne;—dziarska postawa żołnierzy — i młodość ich wrząca, — jednały mu wszędzie sławę ogromną — i stałe płci pięknej względy.

Męztwo, karność i szyk żołnierski—z dawna wyborowy pułk ten cechowały.

Dla tego też—gdziekolwiek stanął na konsystencyi, gospodynie ubiegały się,—aby chociaż jednego z dzielnych wojaków, na kwaterę do domu swego dostać.

Ale—nie tak na tę sprawę łaskawie zapatrywali się—mężowie tych pań.

Lecz cóż mieli począć nieboracy?... Rześki huzar, pana i panią zarówno za serce chwytał.

— Lelkum ([1]),—ostrzegam cię, że nie będę patrzał na to przez szpary, — mawiał posesor do połowicy, widząc jak ta, mile przyjmuje nadskakiwanie huzara.

— Ech galambum ([2])! dziwnie zawsze jesteś zazdrosny i dokuczasz mi niewinnie, — odpowiadała posesorka mężowi — rumieniąc się.

A rzeczy szły po dawnemu.

Huzar, koperczaki ciął do pani—przy szklanicy miodu lub wina za stołem niewolił dla siebie serce gospodarza, — rozpowiadając mu z właściwem węgrowi zacięciem.

— Ot patrzaj posesorze—nasz pułk. — Jest na co spojrzeć—jak Boga kocham!... A pamiętasz posesorze, jak pod Minkole... lub Dobroczynem, rzuciły się huzary naprzód?.. Zmietli panie wszystko przed sobą, i żywa

([1]) Duszko.
([2]) Gołąbek.

noga nie została... A krew lała się potokami... Ale zawsze górą byli nasi!—I dalejże, przywodzić posesorowi na pamięć świetne czyny pułku, i budzić, dawnej sławy węgrów wspomnienia.

A gospodarz-madziar dolewał wina i pokręcając w górę czarnego wypomadowanego wąsa, z dumą przysłuchiwał się opowiadaniom huzara—dodając:

— Tak, tak, — sembratum, pyszne to były czasy — i żal serce ściska dziś na ich wspomnienie.

Poczynając sobie tym sposobem, huzar zawsze w końcu trafić musiał do celu — i zjednać sobie serce posesora.... Stawała więc znów na jakiś czas zgoda.

Tylko—po wymarszu pułku z miasteczka,—gospodarz cieszył się *jednakże* w duszy, że żony swej i dobytku, tak czujnie jak poprzednio—strzedz nie będzie potrzebował.

Mówiąc o tym dobytku przecież, myliłby się ten co słowa moje za czystą chciałby uważać potwarz.

Gdyż—lubo w mniemaniu wielu, taki wyborowy pułk, żadnych ekscesów nie miał potrzeby dopuszczać się — nie tak pomimo to rzeczy stały w rzeczywistości.

Dla lepszego zaś faktu tego stwierdzenia powtórzę własne ojca mego opowiadanie.

— Matka i ojczym mój, rzekł ojciec do mnie, przeznaczali mnie do stanu duchownego, ale uciekłem z ich domu, — aby nie być do tego przemocą zmuszonym, i smarkaczem zapisałem się do wojska.

Dla piętnastoletniego chłopaka, służba taka ochotnicza w pułku dragonów, była nieco twarda, i srogo też dała mi się we znaki. Koń ogromny—do którego grzbietu zaledwie dosiąść mogłem,—rynsztunek kawaleryjski — tak ciężki, że go z ziemi podjąć było nie łatwo, i cała—odpowiednia temu służba, wyrobionych sił męzkich wymagająca, tak znużyły mnie i wycieńczyły, że wkrótce—obłożnie się rozchorowałem.

Wszelakoż — odznaczałem się zawsze porządkiem i czystością koło rzeczy moich, i wielką okazywałem ochotę — do kawaleryjskiej służby — a obowiązki swoje pełniłem gorliwie.

Skoro przeto ozdrowiałem, przeniesiono mnie niezwłocznie na przedstawienie rotmistrza szwadronowego, do pułku Kajzer huzarów.

Wszakże, wiarusy pułkowi, z góry tam patrzeli na smarkacza, nie łącząc się ze mną, i spostrzegłem niebawem, że mi nie ufają kryjąc się z czemściś, a na widok mój szyderczo pokręcają wąsa.

Byłem wielkim lubownikiem koni od dzieciństwa, z przerażeniem jednak widziałem, że mimo najusilniejszych starań moich,—koń wyznaczony mi do służby kawaleryjskiej — schudł ogromnie.

Szydercze spojrzenia kolegów niepokoiły mnie też bardzo, ale długo napróżno starałem się dojść ich przyczyny, w końcu dopiero przekonałem się że schudzony koń mój, stał się szyderstwa tego przedmiotem, gdyż ile razy czyściłem go przed stajnią, palcem go sobie koledzy pokazywali.

Biedziłem się też długo, aby dojść przyczyny, tak nienormalnego stanu zwierzęcia, przyrównywając zwłaszcza chabeta mego, do dzielnych rumaków współtowarzyszy, na jednymże wikcie żywionych.

Ale mimo tych wszystkich zmartwień nie ustawałem w pracy, a dzień cały schodził mi na ćwiczeniach wojskowych.

W nocy znów zapalałem światło — i gdy inni towarzysze—z dawna już pokładli się na spoczynek, ja tylko jeden—chcąc się koniecznie między kolegami odznaczyć, — schylony przy łojówce, ślęczałem nad książką — gorliwie ucząc się—regulaminu wojskowego.

Wachmistrz szwadronowy — widział usiłowania moje i żal mu się zrobiło młodego chłopca z którego szydzili sobie koledzy, bo przechodząc koło mnie gdy czyściłem zbiedzonego konia mego, dumał czasem lub wąsa przygryzał.

A widocznem było z tej zadumy, że myślał wyprowadzić mnie z niepewności — i odkryć sposób, w jakiby niepokojącemu stanowi zwierzęcia mego stanowczo zaradzić.

Ale długo jeszcze milczał, jakby wahając się czy może to uczynić bezpiecznie.

Raz przecież widząc mnie zajętego koniem przed stajnią, zatrzymał się nagle i zawołał:

— To wszystko na djabła się nie zdało — sembratum!... Alboż nie widzisz—że szkapa twoja chudnie coraz bardziej, i przy całej twojej głupiej o nią staranności, wkrótce wyciągnie kopyta z głodu.

— Widzę to dobrze niestety—panie wachmistrzu,—odpowiedziałem z westchnieniem,—ale przypuszczam, że koń mój musi być chory raczej—niż głodny.

— To mylne przypuszczenie, bo koń twój zdrów jak ryba,... tylko brakuje mu dostatecznej ilości pożywienia.

— A więc, jakżeż temu zaradzić?... Jakim sposobem dopełnić — brakującego mu furażu zapytałem niespokojnie.

— Jak to.... jakim sposobem!... Alboż nie wiesz?...

— Dalibóg że nie wiem — panie wachmistrzu!

— Hm, hm, to bardzo źle!.. Trzeba szukać przecież skutecznego jakiegoś środka...

— Środka?..

— No tak, rozumie się—sembratum...

— Ale jakiegoż?..

— Ba, — odparł wachmistrz, — jakiego... Juźciż ja ci nie mogę powiedzieć — jaki środek tu konieczny... Ale,.. pomyśl uważnie— to znajdziesz...

I odszedł, nic więcej nie powiedziawszy.

Niech mnie djabli—wezmą, jeśli nad wynalezieniem tego niezbędnego środka, nie biedziłem się z tydzień jaki na próżno, — w czasie którego—zdawało mi się koniecznie, że szkapa moja — lada chwila kopytkami trzaśnie i gryzłem się z tego powodu niepomiernie.

Nareszcia jednej nocy, zmęczony nad regulaminem — i mając głowę nabitą smutnemi myślami, pochyliłem się nad książką i twardo zasnąłem. Lecz wkrótce poczułem przez sen, że mnie ktoś jakby wpół przeciął, powrozem.

Zerwałem się więc z miejsca na równe nogi i z wielkiem zdziwieniem spostrzegłem wachmistrza, stojącego nademną — z groźną miną i rzemieniem w ręku.

Będąc tak nieludzko — i niewinnie jak mi się zdawało, utraktowanym, mimo szacunku dla starszych i subordynacyi, których surowo uczy kodeks wojskowy, — chciałem zaoponować przeciw takiemu ze mną postąpieniu.

Ale wachmistrz, nie dał mi przyjść do słowa i z góry ofuknął.

— A cóż to smarkaczu!—czy sądzisz — że koń twój wiatrem żyć będzie?.. Ruszaj natychmiast i weź powróz i pałasz... Idziemy na obławę!...

Przyznam się szczerze, że pierwszą tylko część tego rozkazu zrozumiałem, druga, nie mogła pomieścić mi się w głowie. Wyraz bowiem — obława, zupełnie nie znajdował się w regulaminie wojskowym. Przypasałem wszakże do boku pałasz, wziąłem do ręki powróz, i lubo nie mogłem jeszcze schylić się tak mnie krzyż bolał, stanąłem jednak w szeregu, wraz z innymi towarzyszami mymi, którzy śmieli się z przywitania mnie wachmistrzowego—i za danym znakiem—ruszyłem z kolegami sam nie wiedząc gdzie i po co idziemy;—chociaż ta nocna wycieczka, nastręczała mi domysł—nieczystej jakiejś wyprawy.

Noc letnia gorąca, ciemna była zupełnie, a wachmistrz posuwając się z nami ostrożnie, bez szelestu, skierował po cichu kroki nasze tam, gdzie w sąsiedztwie miasteczka N* — w którem pułk nasz konsystował, znajdowały się—najlepsze łąki okolicznych pósesorów, — i wkrótce, poczuliśmy zapach świeżo skoszonego siana, które do koła roznosiło woń aromatyczną.

Wówczas dopiero stanęły mi jasno przed oczami, czynione przez wachmistrza przygotowania, tajemnica jaką się otaczano, — i domyśliłem się nakoniec nieczystych celów—tej fatalnej wyprawy.

Schwyciwszy zatem jednego z obok mnie idących w milczeniu towarzyszy za rękę — szepnąłem mu do ucha silnie zaniepokojony.

— Powiedz mi kolego, — co to wszystko znaczy i gdzie my idziemy?..

— Jak to,—nie domyślasz się?—odpowiedział obojętnie—półgłosem zapytany... Idziemy kraść siano...

— Kraść!.. Ależ przez Boga, — czy to się godzi...

— Ha, ha, ha,—zaśmiał się kolega,—Widać z tego że jesteś jeszcze fryc!..

Umilkłem na to ohydne szyderstwo i przeszło mnie mrowie po ciele, — a pomyślawszy o wachmistrzu, uczułem żal wielki do niego, że mnie wplątał do tej nikczemnej i awanturniczej wyprawy.

Lecz cóż miałem czynić... Jak uniknąć tego?..

Zostawały mi dwie tylko drogi, obie zarówno niebezpieczne:

Opóźnić krok z umysłu i zostawszy w tyle za kolegami,—zemknąć od tej—jak ją wachmistrz nazwał — obławy:—lub też, wróciwszy z takowej—denuncyować wachmistrza.

Gdyby — udało mi się zemknąć, naraziłbym się—co najmniej na nienawiść kolegów, zawsze groźną dla młodego chłopca.

Denuncyować zaś wachmistrza, było to narazić się na zemstę jego osobistą, nie bacząc

jeszcze, — że oprócz wstrętu jaki budził we mnie krok podobny, do żadnego praktycznego rezultatu środek ten nie mógł doprowadzić.

I łatwo było domyślić się że starszyzna wojskowa musiała chyba dobrze wiedzieć, o sposobach tych — używanych przez żołnierzy, dla dopełnienia brakującego koniom furażu.

A jeśli takowe tolerowała, to widocznie musiała uznać, iż brakowi temu w inny sposób godziwy—zaradzić się nie da.

Na cóż więc w rezultacie — przydać się mogła — denuncyacya wachmistrza, kiedy na pewno dowódca pułku, starałby się rzecz całą zagodzić, lub ramieniem swem — osłonić winnego.

Świetne wyglądanie koni pułkowych we froncie, jest nie małej wagi dla dowódcy pułku, i żadną miarą względu tego z oka spuszczać nie mógł. I dawno już wiedziałem o tem, że starszyzna wojskowa na wszystkie podobne ekscesy żołnierzy, przez szpary patrzeć zwykła a w tak przykrem położeniu, trudno było zdecydować się na krok jakiś stanowczy.

Tymczasem szliśmy już miedzą, chłop za chłopem i w krótce mieliśmy dotrzeć do celu. Była to włość—zamożnego węgierskiego osadnika,—dobrze wszystkim znana, do której często zabiegałem w dni świąteczne. Gospodarz był wdowcem i poczciwym bardzo człowiekiem. — córka zaś jego jedynaczka,— Hanka krasawica, miała liczko piękne, włos kruczy—i żarzące dwa węgle w oczach.

Byłem młody—i lubiłem gawędzić z gospodarzem o tem i o owem, a tańczyć z Hanką—czardasza, po muzyce cygana.

Hanka zaś w amarantowej swojej spódniczce, w czarnym aksamitnym korsarzu, a czapeczce z piórkiem na uchu barankiem oszytej, i safianowych—czerwonych wysoko sznurowanych bucikach, dźwięcząc obcąskami a patrząc na mnie płomienistym wzrokiem, rzucała mi się po tańcu na ramię.

A ja drżąc z rozkoszy, — pytałem:

— Hanko—moja jedyna, kochasz mnie?

— Ach Janczy ([1]), nie pytaj mnie o to... Przedewszystkiem Bóg,—a potem ty—i ojciec mój!..

— Hanko, nie zapomnisz o mnie?

— Równo z życiem chyba!..

I dodawała jeszcze.

— Janczy, Janczy mój drogi, — tylko nie patrz tak na mnie; — nie mogę znieść twego wzroku... Dla ciebie, gotowabym porzucić ojca i Bóg by mnie ukarał... Zostańmy lepiej jak jesteśmy teraz, szczęśliwi.

I płoniła się zasłaniając oczy.

Ale, może wówczas i warto było popatrzeć na ośmnastoletniego chłopca, prostego jak świeca, z hebanowym wąsikiem, w ślicznym huzarskim mundurze, który dla tych czułych spojrzeń w ogień by skoczył za dziewczyną, i gorącą wzajemnością — odpłacał się Hance. Ach, jakżeż lękałem się teraz stracić tej miłości!...

Skoro bowiem napastowanoby broń Boże— jej ojca i pokrzywdzono go,—prędzej czy później, ojciec i córka--domyśliby się musieli wszystkiego,—a Hanka, nienawiścią zapłonąć dla tych, co należeli do tej—jak ją grzecznie nazwał wachmistrz — obławy, i wzgardziwszy mundurem ich, mną zarazem pogardzić.

Byłbym w tej chwili udusił wachmistrza.

A nie bezzasadnie jak się niżej pokaże, — lękałem się, nieludzkiego obejścia żołnierzy z osadnikiem—i czułem wyraźnie że z obawy o niego, krew mi serce zalewa.

Jak go ostrzedz jednakże, jak ratować? — Żadnego nie miałem na to sposobu.

Nie pierwszy raz to była widać, ta wyprawa moim kolegom, chociaż o poprzednich nic z goła nie wiedziałem.

Dla tego też osadnik, ostrzeżony przez sąsiadów i pragnąc ocalić mienie swoje — w ciągłej miał się baczności, — i nie kładł się inaczej na polu, przy swoich świeżo ustawionych stogach, jak z nabitą u boku dubeltówką.

Rozgniewany zaś przymusem ciągłego czuwania, powziął zamiar—przykładnego ukarania śmiałka, któryby odważył się świętokradzką ręką—sięgać po owoc ciężkiej pracy i naruszyć własność jego.

Wachmistrz—pił z osadnikiem nieraz i znał wybornie energiczny jego charakter.

Dla tego też — jakkolwiek mógł być zniewolonym do tej wyprawy, koniecznością, utrzymania w świetnym stanie koni szwadronowych, niepokoił się bardzo o jej skutek i postanowił działać ostrożnie.

Zbliżywszy się więc na zamierzoną odległość, wysłał najprzód jednego ze sprytnych żołnierzy na zwiady, a z pozostałymi zaczaił się w pustej stodole, w pobliżu domu osadnika.

Wysłaniec powrócił niebawem z raportem że posesor — przy największym stogu siana — leży uzbrojony: ale z powodu ciemnej nocy — niemożna wiedzieć, czy śpi rzeczywiście, — czy też śpiącego udaje?

Krótka noc letnia, miała się już ku schyłkowi. Trudno zatem było się namyślać, i należało działać — szybko, energicznie, — jeśli wyprawa miała przyjść do skutku.

Wachmistrz uszykowawszy więc żołnierzy parami, kazał im zwolna posuwać się za sobą w gotowości chwytania za danem hasłem siana ze stogu, — a sam, wraz z owym wysłanym na zwiady żołnierzem, zbliżył się po cichutku do osadnika.

Upał — całą noc był niezmierny, wieśniak zatem — czuwając długo poprzednio, — znużył się nakoniec bezsennością i śpiąc na brzuchu — chrapał sobie w najlepsze.

Wachmistrz zszedłszy go w takiej pozycyi, zbliżył się, — podjął lekko leżącą koło niego strzelbę, i kazawszy szeregowcowi owemu, tęgo zdzielić go przez krzyż rzemieniem, wystrzelił jednocześnie osadnikowi nad samem uchem.

Łatwo wyobrazić sobie — jaki był koniec tej napaści.

Biedak, tak niespodzianie powitany i gwałtownie rozbudzony, widząc się rozbrojonym, sądził że zagraża mu niebezpieczeństwo życia.

Zebrawszy się zatem szybko z ziemi, a nie oglądając nawet po za siebie, dopadł chałupy i wskoczywszy do izby — mocno drzwi za sobą zaryglował.

Skorzystali też zaraz z tego, czatujący na przyjazną chwilę żołnierze, a rzuciwszy się na stóg, w momencie napełnili zrabowanem sianem rzemienie.

I pochwyciwszy zeń tyle,— ile każdy unieść mógł na plecach, szybko z łupem swym podążyli do koszar.

Skoro powrócili z wyprawy, wachmistrz zajął się natychmiast pomieszczeniem zdobyczy, na górze pustej i zamkniętej stajni jednej, przeznaczonej dla starości swej do rozbiorki.

Ażeby zaś zatrzeć wszelki ślad kradzieży, mądry frant, usunąwszy z przed owej stajni i wymiotłszy na czysto — wszelki ślad siana,— kazał potrząść takowem drogi do innych stajen sąsiednich wiodące, tam — gdzie go wcale nie było.

Jak się wkrótce pokazało, — wachmistrz działał z wielką przezornością, gdyż poszkodowany nieborak, skoro tylko rozwidniło się, przyszedł z płaczem do rotmistrza najbliższego szwadronu huzarów, utyskując na tak wielką krzywdę swoję i prosząc o zarządzenie natychmiastowego śledztwa między żołnierzami.

Wachmistrz jednakże, zawczasu przewidując podobne żądanie a niespokojny o wypadek śledztwa, do dnia białego nie zmrużył oka, — wiedząc, iż w razie wykrycia kradzieży wszystko zwrócić się mogło przeciw niemu jednemu, jako przywódzcy tej wyprawy.

Spostrzegłszy zatem idącego — ze skargą osadnika, sam mu widzenie się z rotmistrzem ułatwił, — niezwłocznie zameldowawszy go, jakby do niczego nie poczuwał się.

Rotmistrz, spał jeszcze w łóżku, ale usłyszawszy od wachmistrza o żądaniu osadnika kazał go wpuścić zaraz a przetarłszy oczy i zapaliwszy fajeczkę, usiadł na łóżku. Skoro zaś wszedł nowo przybyły — zapytał go:

— Z czemże to wasze do mnie przychodzisz? ze skargą pono na moich wiarusów.

— A tak wielmożny rotmistrzu — okradziono mnie i pobito w dodatku.

Rotmistrz, zmarszczył brwi na te wyrazy rzekł:

— Wszystko to dobrze kochanku, ale skądże tu pewność, że ukrzywdzili cię moi żołnierze... Bardzo to ciężkie przeciw nim oskarżenie.,. A powiedz mi — co w takim razie będzie, jeśli okażą się oni niewinni i szkoda twoja u nich się nie znajdzie?

Filut wachmistrz — usłyszawszy te słowa, bardzo był niby oskarżeniem tem oburzony— i podchwyciwszy ostatnie wyrazy rotmistrza— dodał:

— A tak, tak, — co będzie wówczas?... boć przecież krzywda taka i posądzenie nas, na sucho ujść nie może.

— Zapewne!.. nie może ujść na sucho,— ciągnął dalej rotmistrz zwracając się do posesora... A żołnierze moi, — żołnierze szlachetnego pułku Kajzerhuzarów, nikogo krzywdzić nie potrzebują...

Namyśl się zatem lepiej kochanku — póki pora,— namyśl dobrze, radzę ci... I nie wyobrażaj sobie, że próżne oskarżenie dzielnych

([1]) Jan—po węgiersku.

żołnierzy szwadronu mojego, płazem ci przejść może... Owszem, drogo przypłaciłbyś tę potwarz, skoroby się pokazało, żeś ich niesłusznie posądził.

Osadnik — poskrobał się w głowę — i rzekł po krótkim namyśle:

— Jużciż ja wiem — panie rotmistrzu, co mnie czeka w takim razie — gdybym nie słusznie obwinił żołnierzy pańskich... Ale przecież jestem żywy i mam oczy; — za śladem więc siana mojego, prosto tu z pola przyszedłem i jestem pewny, że je w stajniach swoich, ukryli huzary pańskie...

Wszakże, gdyby szkoda moja, między nimi nie znalazła się, dam dla szwadronu — wiadro wina i wieprzaka tuczonego.

— Wino i wieprza? — zawołał rotmistrz podnosząc się z łóżka i wciągając na nogi — żółte meszty tureckie...

No, niechże i tak będzie!..

I zarzuciwszy na siebie, biały szamerowany kożuszek z przyczepionym do guzika, czerwonym, tureckim safjanowym kapciuszkiem, nałożył fajeczkę tytuniem, i wraz z osadnikiem i wachmistrzem — który ich na chwilę nie odstąpił ruszył na poszukiwanie kradzieży.

Żołnierze spali jeszcze w większej części, a śledztwo na poddaszu pierwszej stajni do której weszli, z możebną odbyło się ścisłością, ale nic nie znaleziono.

Skoro jednakże zbliżono się do drugiej stajni, osadnik spojrzał przypadkiem na ziemię, a dostrzegłszy przed nią ślad swego świeżo skoszonego siana, zawołał podnosząc je z ziemi:

— Tu, tu, panie rotmistrzu, na pewno znajdziemy siano moje, bo o to niech pan patrzy, ślady jego przed stajniami.

Rzeczywiście — rotmistrz zobaczył przed wszystkiemi stajniami huzarów swego szwadronu ślady siana. Targnąwszy zatem niespokojnie wąsa,— zmarszczył się surowo na wachmistrza, i dla lepszego pokrycia przed osadnikiem wzruszenia, otoczył się wielkim kłębem dymu fajki z ust puszczonym.

Przebiegły jednakże wachmistrz, ani na chwilę nie stracił przytomności i niewzruszonem okiem, wytrzymawszy spojrzenie rotmistrza, a uśmiechając się złośliwie, gorliwie dopomagał w czynionych poszukiwaniach.

I przetrząsano a przetrząsano — jednę stajnię po drugiej, ale chociaż wszędzie przed stajniami były ślady świeżego siana, siana tego nigdzie u nich nie znaleziono.

Niektórzy żołnierze — udawali z początku śpiących,— jak i ja sam — mówił ojciec,— który przez cały czas poszukiwań, trząsłem się jak w febrze i na chwilę nawet nie zmrużyłem powieki; — ale wkrótce podnieśli się z posłania, i ubrawszy, poczęli powoli gromadzić się koło poszukujących.

Jak widziałeś, trzech tylko ludzi czyniło z początku poszukiwania kradzieży, gdy jednakże, do ostatniej zbliżono się stajni, z piętnastu już wąsatych wiarusów — z groźną miną, stało za plecami rotmistrza, surowo patrząc na zaniepokojonego tym widokiem osadnika.

— Czyż w tej ostatniej pustej stajni, mamy także szukać jeszcze twego siana?

Markotnie i nastrzępiając sumiastego wąsa, zapytał rotmistrz posesora.

Albożja wiem wielmożny rotmistrzu, odrzekł osadnik z ciężkiem westchnieniem, powtórnie poskrobawszy się po głowie i z niedowierzaniem patrząc na huzarów, którzy wyrastali z pod ziemi — jak szparagi — i w coraz większej skupiali się liczbie, ale chyba już nie trzeba.

— We wszystkich stajniach w których szukaliśmy dotąd, nic się nie znalazło, to i w tej ostatniej, do której żaden ślad już nie prowadzi — będzie pewno to samo.

Otóż i sprawiedliwość ludzka.

Tak się bowiem ona sprawa skończyła,—że biedny osadnik osobiście poturbowany, prócz tego, że szkody swej nie odzyskał, w dodatku jeszcze krzywdy swej, musiał przyrzeczone wino i wieprza żołnierzom wystawić.

— Nie kosztowałem jednakże tych rzeczy — jak się możesz domyśleć, wymówiwszy się słabością. I nigdy już potem na oczy nie widziałem pięknej Hanny mojej,— z głębokim smutkiem — zakończył ojciec.

Przegląd literatury zagranicznej.

Avant l'Exil. — Actes et Paroles, przez Wiktora Hugo. Paryż 1875.—Instytut.—Izba Parów.—Zgromadzenia wyborcze.—Pogrzeby.—Sąd kryminalny.—Sądy wojenne.—Kongres pokoju. — Zgromadzenie ustawodawcze. — Zgromadzenie prawodawcze. — Z grudnia 1851 roku.

Przystępujemy do rozbioru dzieła istnie hugonowskich poglądów i dążeń, z tem przekonaniem, że czytelnikom naszym przedstawimy najwdzięczniejszą stronę talentu najznakomitszego romansopisarza, jakim się dzisiaj może poszczycić Francya. Hugo w poezyi to olbrzym, Hugo w romansie to epoka, Hugo na trybunie to ten, którego chcemy określić stanowisko i to co nazywamy najwięcej wpływową stroną jego talentu. Jest to pole, na które się ostatecznie przerzucił z niesłychanem powodzeniem. Nie śmiemy powiedzieć, żeby Wiktor Hugo występował tu jako publicysta, lecz jako mąż stanu, jako mówca parlamentarny, jako filozof sięgający do głębin tajników społecznych, które na jaw wyprowadzają rewolucye podobne lutowej. Nie mamy zatem przed sobą romansu; jest to bowiem rodzaj pamiętników, składających się z mów miewanych przez Wiktora Hugo tak w akademii jak na wszystkich zgromadzeniach politycznych i obradach parlamentarnych oraz prawodawczych, jakie poprzedziły ustanowienie drugiego cesarstwa a tem samem epokę wygnania autora. Równie to ciekawy ustęp w życiu samego poety jak znacząca chwila w życiu narodu.

Wstęp do dzieła stanowi *prawo i ustawa*, czyli rozdział pod tym tytułem zamykający pobieżnie naszkicowane młodzieńcze lata autora, jego pragnienia, nadzieje, wreszcie zawody doznane w życiu publicznem i na trybunie. Jest to synteza ducha, który przebiegł płomienną drogę wielkich namiętności i większych jeszcze ambicyj, a w tym szalonym pochodzie, opuścił lecz nie złamał skrzydła. Są to wyznania poety czującego, że talentem swoim stanowi przeciwwagę społeczeństwa. Tu nam autor otwiera *„podwoje swego życia,“* którego druga połowa nacechowana świetnemi tryumfami należy niezaprzeczenie do nauki. Jakby przygotowaniem do tego jest mowa w dzień przyjęcia do Akademii francuzkiej, gdzie Wiktor Hugo zajął miejsce Lemerciera, i którą się przebiega mimo całego zajęcia z tym pośpiechem, z jakim czytamy opisy czynów lub dzieł *„d'une génération qui n'est plus“*. Lemercier mimo całych zasług na polu literatury pozostał jednym z uczonych używających tak nazwanego *succès d'estime.* Poważnym nastrojem są nacechowane odpowiedzi Wiktora Hugo jako dyrektora Akademii francuzkiej na mowy pp. Saint-Marc Girardin i Sainte-Beuve, pierwszego, zabierającego krzesło p. Campenon, drugiego, zasiadającego w Akademii po Kazimierzu Delavigne, a obu przesadzających się na pochwały dla poprzedników, którym następcy za największą zasługę poczytać mogli, że ze swych miejsc ustąpili.

Okolicznościowe mowy Wiktora Hugo w Izbie Parów są sympatycznym rozdziałem jego książki; podnosi on w nich bowiem kwestye upadłych narodów, upadłej i wygnanej dynastyi Bonapartych, podaje projekta zabezpieczenia wybrzeży Francyi od zalewów morskich, w których odnajdujemy tajemnicę głębokiego znawstwa fizyki i w ogóle nauk przyrodniczych, uwydatnionego w *Pracownikach Morza*, wyznaniem jakie nam autor czyni, że jako kandydat do Szkoły politechnicznej, długie chwile spędzał nad Oceanem i nad morzem Śródziemnem; podnosi wreszcie kwestyą papieztwa i interwencyi francuzkiej w Państwie Kościelnem. Mniej interesu dziejowego przedstawiają mowy miane na zgromadzeniach wyborczych, oprócz kiedy Hugo broni praw autorów dramatycznych, tych *„ouvriers de l'intelligence,“* jak ich nazywa, chcąc uprzystępnić ogółowi swych słuchaczy, pojęcie ich istotnego stanowiska. Jakżeż to odmienny obraz od tego, jaki nam przedstawił w słynnej mowie 9 Lipca 1850 r. mianej w Zgromadzeniu Prawodawczem o wolności prasy, kiedy uniesiony ważnością chwili i przedmiotu w porywających słowach wystawił stanowisko prasy, jej znaczenie i zarazem upadek w razie narzucenia krępujących więzów. Jakżeż serdecznie go ten przedmiot obchodził, skoro aż zemdlał na trybunie! Oto jest na gorąco ujęte wrażenie, jakie na nas dzieło Wiktora Hugo sprawia.

Więcej zapewne dla dokładności bibliograficznej jak dla ważności przedmiotu zamieścił tu autor mowy pogrzebowe dla Kazimierza Delavigne, Fryderyka Soulié i Honoryusza Balzac'a. Wzruszającą jest obrona wzniesiona przed sąd kryminalny dep. Sekwany za Karolem Hugo redaktorem *Evénement*. Jest jakieś męczeńskie namaszczenie w słowach, któremi Wiktor Hugo wlewając w syna odwagę, powiada mu, że umysłem dojrzał i wzniósł się do wysokości swego zadania. Czytelnik zapewne domyśla się, że mówimy o głośnej w swoim czasie sprawie Karola Hugo, który wbrew literze prawa, stanął w swoim dzienniku w obronie skazanego na

śmierć brakoniera Montcharmant. Kara śmierci, zniesienie jej i ofiary, które bezustannie zabiera, są nieśmiertelnym przedmiotem filozoficznych uwag natchnionych rozumowań i najszczytniejszych improwizacyj dla Wiktora Hugo. Fatalizm ciążący nad karzącem społeczeństwem, samo prawo barbarzyńskie w zasadzie, bo pozbawiające życia człowieka, dramatyczność podobnej chwili wywołana mniejszą lub większą sympatyą dla skazanego, wreszcie wyższy nastrój ducha u samego skazanego, jest i będzie od „*Dernier jour d'un condamné*“ przedmiotem najwznioślejszych porywów ducha u genialnego mówcy — poety. Zapatruje się on bowiem z ogólnie ludzkiego stanowiska na ten czysto ludzki dramat winy w obec społeczeństwa.

W dalszej konsekwencyi wypadków 1848 r. jest stawanie Wiktora Hugo jako świadka przed sądem wojennym. Tutaj autor ogranicza się na ścisłem określeniu faktu, wyniośle traktując samą sprawę. Następują później mowy przy otwarciu i zamknięciu Kongresu Pokoju w 1879 r. i mowy w Zgromadzeniu Ustawodawczem i Prawodawczem. Najpiękniejszy to podobno dział z całej książki. Tutaj Wiktor Hugo był w swoim żywiole. Oprócz wspomnianych przez nas kwestyj wolności prasy i kary śmierci podnosił on palącą kwestyą nędzy, wolności nauczania, urzeczywistnianej w naszych czasach, deportacyi, głosowania powszechnego, nazwanego „*systéme absurde*“ przez Guizot'a. Kwestye czysto politycznej natury jak sprawy Rzymu, lub wyłącznie interesów państwowych dotyczące, jak przejrzenie konstytytucyi są może jedynemi, które nam przypominają rewolucyą lutową. Krótki rozdział o wypadkach 2 Grudnia 1851 r. tłómaczy nam dla czego dostojny autor musiał się udać na wygnanie, z którego upadek znienawidzonego cesarstwa go odwołał. Wszystko tu jest równie zajmujące i równie pociągające formą jak w romansach Wiktora Hugo. Jestto początek jego pamiętników, które w przyszłości będą stanowiły cenny materyał do historyi politycznej Francyi. Rzadko zapewne się zdarza, żeby pisarz polityczny tak ściśle był zespolony z romansopisarzem jak to jest w Wiktorze Hugo.

Amelia Wejnert.

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— Ekscentryczność amerykanów znaną jest całemu światu. Z próżniactwa i zbytków wynajdują oni coraz nowsze sposoby bawienia się w dziwaczny sposób, w zamian za co, my im od siebie posyłamy uśmiech pogardliwego politowania. Niedawno 2-ch *Yankesów* powzięło zamiar przejechania wszerz Ameryki taczkami, w ten sposób, iż jeden z nich popychą taczkę; a drugi w niej siedzi. Zamiar ten wszedł już wykonanie i oto jedzie już teraz na przemiany dwóch dziwaków do Filadelfii w ekwipażu, w jakim u nas w kraju wożą tylko śmiecie i glinę!!

Jakie to zabawne, ale i smutne, — nieprawdaż?

— Koszta wystawy powszechnej w Paryżu w r. 1878 odbyć się mającej, według przedłożonego Zgromadzeniu narodowemu preliminarza, obliczone zostały jak następuje: Wydatki na budowle 23,228,000 franków, na urządzenie parku i wodospadu 3,265,000, na sprawienie machin 1,500,000, na urządzenie placu 500.000, na sprowadzenie wody i gazu 950,500, na urządzenie wystawy sztuk pięknych osobno 100,000, na sztachety i parkany 37,000 na gratyfikacye 1,800,000, na przywrócenie pola Marsowego po wystawie do dawnego stanu 380,000, na obchody uroczyste 500,000, nieprzewidziane wydatki 1,000,000, a wreszcie koszta sporządzenia medalów dla dla wystawców 1,500,000, franków. Ogół wydatków wynosi zatem 32,333,000, fr. podczas gdy dochody obliczone są w preliminarzu na 19.235,000, fr.

— W Ameryce północnej w okolicach Lafayette (Indiana) niejaki James Moore, rolnik, opanowany żądzą wynalazków, udał się niedawno do Lafayette i wynająwszy pokój w Lahr-House oświadczył, że zabawi przez tydzień, gdyż potrzebuje wydoskonalić pewne odkrycie, nad którem zamierza sam jeden pracować. Kupiwszy nastęnie deski, piłę i siekierę, zaniósł to wszystko do swego pokoju, i zamknął się na klucz, żeby mu nieprzeszkadzano w pracy. Gdy jednak nazajutrz nie pokazał się wcale uznano za konieczne wejść do jego numeru i przekonano się tam, że odciął sobie głowę zapomocą gilotyny, którą własnoręcznie zbudował, na wzór narzędzia wymyślonego przez d-ra Guillotin. Topór pełnił funkcyą noża i był urządzony w taki sposób że spadał szybko między rowkami, wtedy, gdy umieszczona w górze świeca, dogorywając przepalała sznurek, przywiązujący go do słupa. W miejscu dokąd stoczyć się miała głowa, Moore postanowił skrzynkę otwartą i zawierającą na dnie bawełnę, nasyconą chloroformem. Zrobiwszy te przygotowania, położył się w pozycyi stosowne], i żeby nie ruszyć się z miejsca, przytwierdził do podłogi dwa rzemienie, z których jeden krępował mu nogi, a drugi górną część ciała. Doświadczenie powiodło się doskonale. Świeca przepaliła sznurek, topór spadł na szyję i odciął gładko głowę, która potoczyła się do przygotowanej na ten cel skrzyni. Rozpatrując bliżej narzędzie, spostrzeżono, że na jednej z nich Moore napisał: „Machina do wynajęcia, lub do sprzedania.“ Szalony ten wynalazca, zosawił po sobie żonę z trojgem dzieci.

— W Wiedniu dało się 17 t. m. uczuć silne trzęsienie ziemi o godzinie 1 minut 22 po południu. W ciągu ostatniego dziesięciolecia po raz trzeci powtarza się ta niemiła niespodzianka wulkaniczna, ale tym razem była ona efektowniejszą od poprzednich; uderzenia pojedyncze trwały 2 — 3 sekund i powtarzały się z siłą, jakiej w podobnych wypadkach najstarsi tutaj nie pamiętają. Nieszczęśliwych następstw, oprócz panicznego strachu nie wywoło to zaburzenie.

— *Sprawy polityczne* rozpoznawane przez wojenno-śledczą komisyą istniejącą w Warszawie, jak donosi „Goniec Urzędowy,“ oddane zostaną pod rozstrzygnienie nowo ustanowionych sądów. Porządek przejścia oznaczony zostanie przez Ministra Sprawiedliwości, Szefa Żandarmów i miejscowego Jenerał-Gubernatora. Po oddaniu spraw, śledcza komisya ma być zamknięta. Prośby tylko emigrantów pragnących wrócić do kraju, roztrząsane i decydowane będą przez specyalną komisyą, którą Minister Spraw Wewnętrznych, po porozumienieniu się z Szefem Żandarmów i miejscowym Jeneralnym Gubernatorem, utworzy.

— „Wojenno medycinskij żurnał“ — zamieszcza artykuł dra Grzymały o skuteczności lekarskiej ostu zwanego czartopłochem przeciwko *wodowstrętowi*. P. Grzymała utrzymuje, że środkiem tym lecząc przynajmniej 100 osób, udało mu się zapobiedz od rozwinięcia tej strasznej choroby. Osobom dorosłym daje on proszek z suszonych liści tego ostu (xanthium spinosum) trzy razy dziennie po 0,6 gramma, przez trzy tygodnie.

— Czytamy w „Kalisz.“ Pan Radzymiński posiadał przed kilku laty dobra Liszków pod Koźminkiem; ogień zniszczył dobytek wielu włościan, p. R. pomagał poszkodowanym drzewem, zbożem i wszystkiem co tylko miał. Wkrótce potem wyprowadził się, stosunki z Liszkowem były zerwane, kupił wieś Gać. Roku zeszłego ogień zniszczył mu żniwo; włościanie z Liszkowa przywieźli mu kilka wozów zboża i żadnego wynagrodzenia wziąć nie chcieli, mówiąc: „Wy ratowaliście nas dawniej, teraz na nas kolej.“ Wartoby zbierać takie piękne czyny i wydać ich opis w osobnej broszurce, choćby dla przykładu, że naszemu ludowi nie obce jest uczucie wdzięczności.

— *W kwestyi obowiązkowego używania języka ruskiego przy załatwieniu czynności przez sądy gminne, rady familijne i zarządy upadłości massy, jak również przy spisywaniu aktów notaryalnych w guberniach Królestwa Polskiego,* Komitet do spraw Królestwa Polskiego, roztrząsnąwszy przedstawienie Ministerstwa Sprawiedliwości w kwestyi obowiązkowego używania języka ruskiego przy załatwianiu czynności przez sądy gminne, rady familijne i zarządy upadłości massy, jak również przy spisywaniu aktów notaryalnych, uchwalił:

1. Wyjaśnić, że przy roztrząsaniu spraw procesowych i kryminalnych w sądach gminnych może być dozwolone używanie, oprócz języka ruskiego, tego także języka, w którym mówi ludność miejscowa, w tych wypadkach, gdy strony i osoby należące do sprawy nie posiadają języka ruskiego. Lecz i w takich wypadkach, w ścisłem zastosowaniu się do artykułu 241-go przepisów z 19-go lutego 1875 roku, wyroki, decyzye i postanowienia sądu i wszystkie w ogóle akta na piśmie sporządzane przez sąd, powinny być redagowane w języku ruskim.

2. Wyjaśnić, że w radach familinych, w których prezydują sędziowie pokoju lub ławnicy, jak również w zarządach upadłości massy — rozprawy mogą odbywać się, w razie nie posiadania przez ich członków języka ruskiego, w innym, znanym im języku miejscowym; lecz uchwały rad familijnych i zarządów upadłości massy, mają być redagowane również w języku ruskim, z dołączeniem

jeżeli członkowie rad i zarządów upadłości mass uznają za potrzebne, przekładu uchwały w tym języku, w jakim odbywały się rozprawy.

3. Wzmiankowane w artykule 3 przepisów z 19 lutego 1875 roku o notaryacie, akta prywatne, składane do poświadczenia przez sędziów pokoju i przez sądy gminne, mogą być redagowane, oprócz w języku ruskim, w tym także języku, jaki używany jest przez ludność miejscową, lecz z zastrzeżeniem, że gdyby taki akt ulegał roztrząsaniu w sądzie to wraz z aktem oryginalnym, ma być złożony także poświadczony przekład takowego na język ruski.

4. Nadać osobom prywatnym, zawierającym akta notaryalne, prawo do otrzymywania oprócz tekstu ruskiego (art. 97 przepisów notaryalnych), osnowy tegoż w języku używanym przez ludność miejscową, z odpowiedzialnością ze strony notaryusza za dokładność przekładu i z zastrzeżeniem, że w każdym razie jako oryginał uważany jest tekst ruski.

Najjaśniejszy Pan uchwałę komitetu Najwyżej zatwierdzić raczył.

Przemysłowe.

— Przemysł krajowy rozwijać się zaczyna. Świeżo zakłada się w Warszawie wielka parowa fabryka kapeluszy, która miejmy nadzieję, nie pozostanie bez wpływu na mniejszy przywóz do kraju produktu tego z Francyi i Niemiec.

Literackie i Wydawnicze.

— Przewrót gotuje się w prasie niemieckiej. Jeden z najpokaźniejszych dzienników bowiem, „Koelnische Ztg,“ zamierza porzucić gotycki alfabet i zacząć używać łacińskiego, w którym od dawna już Niemcy drukują swe książki naukowe.

— Jedna ze znanych firm wydawniczych Warszawskich poczyniła już kroki w celu nabycia prawa publikacyi pozostałych pism Fredry. Jak mówią, nieśmiertelny komedyopisarz miał podobno w tece... drugie pięć tomów!

— W gazetach Petersburskich czytamy następujące ogłoszenie: W tych czasach w St.-Petersburgu opuściły prassę dwie publikacye a mianowicie: *Tablica Historyczna Polski od r. 860 do r. 1875* na papierze klejowym białym, szerokości 3 a długości 2 arszynów, poświęcona ojczyznie rossyi, z 45 portretami monarchów polskich od początku ich panowania do czasów obecnych i z wizerunkami dwóch pomników w Warszawie: Kopernika astronoma — i jenerał-feldmarszałka Paskiewicza, oraz herbami Cesarstwa i Królestwa Polskiego, w języku rossyjskim i polskim—i *Album historyczne*, formatu ½ arsz. szerokości, na ¼ arsz. długości, w języku polskim i rossyjskim, druk w rubrykach wzdłuż tekstu obu języków obok, ułatwiający studya pobieżne, oraz naukę historyi i języków obu narodów, które prawie jednocześnie rozpoczęły swój byt historyczny. Naród polski znanym jest ze swych prac na polu rozmaitych nauk i sztuk; kompozycye muzyczne polskie zdumiewają poetycznym nastrojem, świetnemi effektami, bogactwem motywów swojskich rozumnie i z talentem użytych. Utwory rzeczone uzyskały powszechne uznanie w świecie artystycznym. Urocza swoboda ich, kunsztowne modulacye, ognistość i fantazya cenione są powszechnie; w całym ukształconym świecie znani są kompozytorowie polscy i ich poważne kreacye, a z popularnych utworów zjednały sobie wszędzie obywatelstwo, polonezy, krakowiaki, mazury, polki, wiślanki i t. d.

Cena publikacyi tablicy historycznej rs. 1 k. 50 i *tyleż* za album historyczne na papierze kolorowym przyjemnej i ulubionej Polakom barwy. Zamówienia bezwłocznie ekspedyuje, księgarnia Lisienkowa — *St.-Petersburg* — na Newskim Prospekcie, Gościnny Dwór Nr. 5, na pierwszem piętrze.

— Rok szkolny dotychczas prawie w całej Europie zaczynał się we Wrześniu lub w Październiku; od pewnego czasu jednak ze strony poważnej zaczęto podnosić liczne i częstokroć bardzo słuszne zarzuty przeciw temu podziałowi czasu szkolnego. Właśnie czytamy w dziennikach berlińskich że górno-szląskie Towarzystwo pedagogiczne przedłożyło pruskiemu ministerstwu wyznań i oświaty memoryał w tym przedmiocie, w którym zaleca pogodzenie roku szkolnego z kalendarzowym. W takim razie dwa kursy roku szkolnego z dniem 1 Stycznia rozpoczętego, odpowiadałyby ściśle półroczom, które przedzieloneby były sześciotygodniowemi feryami letniemi, na zakończenie zaś roku mogłyby być zaprowadzone czternastodniowe ferye w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Szkoły.

— Kongres nauczycieli i przewodniczących w Instytutach Ociemniałych odbędzie się w r. b. w Dreznie w dniach 25, 26 i 27 Lipca, pod prezydencyą dyrektora G. Rejnhardta.

— Uczniom tutejszych gimnazyów wzbroniono wstęp do ogródków. Rozporządzenie to wysoce uznania godne, wobec gorszącego nieraz zachowania się tego drobiazgu na zbyt wolnych przedstawieniach Offenbachjad w Alkazarze, Alhambrze lub Eldorado.

— Rada Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi (Puławach), uchwaliła, aby studenci 2-o kursu wydziału gospodarczego odbywali pod przewodnictwem profesorów, *wycieczki* do majątków znanych w kraju z wzorowego urządzenia gospodarstwa. Wskutek tego, pierwsza taka wycieczka ma nastąpić wkrótce do dóbr Opole, własności p. W. Kleniewskiego.

— Kuryer Codzienny ogłosił następujące ze Szkoły Handlowej prywatnej sprawozdanie z działalności szkoły za r. 1875/6, które poniżej podajemy:

W ubiegłym roku szkolnym wykłady w szkole handlowej rozpocząć się mogły dopiero dnia 19 Września 1875 r., ukończone zaś zostały w dniu 28 Czerwca 1876 r.

W tym pierwszym roku istnienia szkoły handlowej otwarte były: Klasa przygotowawcza do klasy specyalnej i pierwsza klasa specyalno-handlowa.

Klasa przygotowawcza z powodu znacznej liczby uczniów, rozdzielona być musiała na dwa oddziały, klasa zaś specyalno-handlowa była o jednym oddziale.

W pierwszem półroczu r. s. 1875/6 liczba uczniów wynosiła:

W obu oddziałach klasy przygotowawczej 102
w klasie specyalnej 41

W drugiem półroczu tegoż roku szkolnego:

W obu oddziałach klasy przygotowawczej 100
w klasie specyalnej 39

Nadto dany był dostęp młodzieży fachowo już zajętej w zakładach handlowych lub przemysłowych, posiadającej odpowiednie przygotowawcze uzdolnienie, z możnością korzystania z wykładu niektórych wybranych przezeń przedmiotów w pierwszej specyalnej klasie pod nazwą „wolnych słuchaczy,“ których, w pierwszem półroczu było 6, w drugiem zaś 2.

W ciągu roku ubyło ze szkoły:

Usuniętych za przewinienie przez zwierzchność szkoły:

z klasy przygotowawczej 7
„ specyalnej 2
z powodu słabości zdrowia 2

Wolnych słuchaczy w 2-em półroczu ubyło 5.

W ciągu roku szkolnego odbyto dwa egzamina, t. j. w Grudniu 1875 r. po ukończeniu półrocza zimowego i w Czerwcu 1876 r. przy zamknięciu rocznych wykładów.

Na rocznym egzaminie w Czerwcu r. b. odbytym, otrzymało przejście do następnej klasy:

Z obu oddziałów klassy przygotowawczej 40,
z klasy specyalnej 1-ej do 2-ej 17.

Oprócz zawiadującego szkołą handlową, jego pomocnika b. inspektora szkół rządowych p. Laudyna i sekretarza szkoły b. naczelnika archiwum okręgu naukowego warszawskiego, p. Milicera, następujące osoby zajmowały się wykładem nauk:

a) Języka ruskiego w 1-em półroczu b. nauczyciel szkół rządowych, w 2-em zaś p. Bałbaszewski, nauczyciel szkół rządowych.

b) Języka polskiego rzeczywisty student uniwersytetu, nauczyciel szkół rządowych p Bądzkiewicz.

c) Języka niemieckiego w 1-em półroczu b. nauczyciel szkół rządowych p. Kulin i nauczyciel szkół rządowych p. Zielke, w 2-em zaś półroczu tenże p. Zielke i nauczyciel szkół rządowych p. Zajdowski.

d) Języka francuzkiego w 1-em półroczu korespondent Banku Dyskontowego p. Bazanerye, w 2-em zaś półroczu nauczyciel szkół rządowych p. Fontaine.

e) Geografii handlowej, kandydat uniwersytetu, nauczyciel szkół rządowych p. Wróblewski.

f) Statystyki, doktór prawa, b. nauczyciel szkół rządowych p. Załęski.

g) Historyi, kandydat uniwersytetu, nauczyciel szkół rządowych (?).

h) Algebry, magister uniwersztetu, nauczyciel szkół rządowych p. Diksztajn.

i) Geometryi, kandytat uniwersytetu, nauczyciel szkół rządowych, p. Kwietniewski.

k) Arytmetyki handlowej, magister b. Szkoły Głównej Warszawskiej, urzędnik Banku Polskiego, p. Kramsztyk.

l) Historyi naturalnej i botaniki, kandydat Uniwersytetu, asystent katedry anatomii Uniwersytetu Warszawskiego, p. Slósarki.

ł) Fizyki, magister b. Szkoły Głównej, Warszawskiej, asystent katedry fizyki Uniwersytetu Warszawskiego p. Dziewulski.

m) Chemii, magister b. Szkoły Głównej b. asystent katedry chemii Uniwersytetu Warszawskieg, p. Milicer.

n) Gospodarstwa społecznego, doktór filozzfi, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, p. Białecki.

o) Buchalteryi, magister b. Szkoły Głównej Warszawskiej, naczelny buchalter Banku Handlowego p. Dajke.

p) Korespodencyi handlowej, kandydat Uniwersytetu, urzędnik Banku Handlowego, p. Smolak.

r) Prawa handlowego i wekslowego, obrońca przy Warszawskich Departamentach Rządzącego Senatu, p. Flam.

s) Kaligrafii, b. nauczyciel szkół rządowych p, Mielnicki.

t) Rysunków, nauczyciel szkół rządowych, p. Kolberg.

Pomoce naukowe szkoły stanowiły:

1) Biblioteka, złożona z podręczników; używanych w innych szkołach handlowych; po koniec roku szkolnego było dzieł 90.

2) Kart gograficznych do wykładu geografii handlowej i historyi, sztuk 2.

3) Rycin ściennych do wykładu zoologii i botaniki sztuk 23.

4) Przyrządy i naczynia do doświadczeń chemicznych.

5) Apparata fizyczne wynajmowane były od mechaników prywatnych.

6) Figur solidometrycznych do wykładu geometryi sztuk 25.

7) Figur geometrycznych do wykładu rysunków sztuk 10.

8) Tablice i druki do ksiąg buchalteryjnych.

Nadto uczniowie szkoły handlowej podkierunkiem wykładającego, zwiedzali kilkakrotnie gabinet zoologiczny i odbywali ekskursye botaniczne do ogrodu botanicznego.

Ogłaszając to sprawozdanie dodać winniśmy iż odbyte egzamina roczne przekonały, że młodzież wstępująca do Szkoły Handlowej Prywatnej, w skutek słabego w ogóle uzdolnienia w języku niemieckim i niedostatecznej wprawy w rozwiązywaniu zadań arytmetycznych, z trudnością podołać może słusznym wymaganiom z tych przedmiotów, nieodbicie potrzebnych do korzystania z wykładu buchalteryi i korespondencyi niemieckiej. Zwierzchność tedy szkolna, dla zaradzenia temu, już od początku roku szkolnego zwiększyła liczbę lekcyj języka niemieckiego i rachunkowości handlowej urządzając wykłady wieczorne, lecz pomimo tego doświadczenie okazało wielką trudność nauczania języków nowożytnych, przy zbyt niejednostajnem uzdolnieniu nagromadzonej w klasie młodzieży.

Dla tego więc, aby zapewnić odpowiedniejszy ogólny postęp w języku niemieckim i arytmetyce handlowej, postanowiono bez dokładnej znajomości zasad języka niemieckiego i pewnej obfitości znajomych wyrazów w tym języku, jako też bez dostatecznej wprawy w przerabianiu arytmetycznych zadań, nie przyjmować nowych uczniów do Szkoły Handlowej Prywatnej. Tym sposobem każdy z nowo wstępujących do pomienionej szkoły złożyć winien w stopniu dostatecznym egzamin z języków: ruskiego, niemieckiego i arytmetyki.

— Niniejszym podaje się do wiadomości, iż przy Warszawskim Instytucie Myzycznym (Konserwatoryum) wakują dwie posady na nauczycieli wyższej gry na fortepianie, z płacą po rs. sześćset (600) rocznie, dwanaście godzin (12) tygodniowo.

Kandydaci podający się na powyższe posady winni:

1. Złożyć podanie na zwyczajnym papierze do Komitetu Konkursowego (na ręce prezydującego) od d. 20 Sierpnia (1 Września r. b. do dnia 18 (30) Września r. b. włącznie, z adresem kandydata jak najdokładniejszym.

2. Do powyższego podania winni dołączyć.

a) Curriculum vitae, z wymienieniem głównie gdzie, przez jaki czas i pod czyim kierunkiem kandydat odbywał studya muzyczne, wraz z dowodami na to.

Uwaga. Pomiędzy kandydatami stawającymi do konkursu pierwszeństwo będą mieć ci, którzy udowodnią kilkoletnie zajmowanie się nauczycielstwem w zakładach specyalnych krajowych lub zagranicznych.

b) Opisać system, jakiego w nauce kandydat trzymać się zamierza, t. j. jakiemi etiudami i kompozycyami, oraz w jakim porządku kształcić zamyśla.

Uwaga. Z pomiędzy sześciu kursów, na które dzieli się nauka fortepianu w Instytucie Muzycznym (Konserwatoryum) Warszawskim, IV, V i VI należą do wyższych. Nauczyciele obejmują kursa wyższe z uczniami i uczennicami, którzy przeszli Etiudy Cramera.

3. Kandydat winien stawić się w gmachu Instytutu Muzycznego (Konserwatoryum) w dniu i godzinie oznaczonej mu przez Komitet Konkursowy i poddać się egzaminowi. Egzamina kandydatów trwać będą od dnia 29 Września (11 Października) r. b. do dnia 8 (20) Października r. b. włącznie.

Warunki egzaminu:

a) Kandydat winien przedstawić Komitetowi swój repertoar, z którego na żądanie odegra jednę lub więcej kompozycyj, stosownie do uznania obecnych sędziów. Od każdego kandydata wymaga się dokładnej znajomości dzieł dawnych i tegoczesnych autorów oraz sposobu ich traktowania.

b) Kandydat winien odegrać prima vista utwór z rękopismu przedłożonego mu przez obecnych sędziów, oraz okazać pewną biegłość w transponowaniu.

c) Kandydat winien odpowiedzieć na wszelkie ustne pytania dotyczące systemu nauczania, wymaganą jest przytem gruntowna znajomość harmonii, oraz znajomość głównych zasad kontrapunktu i rozbiór form muzycznych.

Uwaga. Do konkursu zgłaszać się mają kandydaci nietylko krajowi ale i zagraniczni. Od tych ostatnich wymaganą będzie znajomość języka francuzkiego, jako z obcych najwięcej rozpowszechnionego.

4. Kandydat przyjęty obejmie powierzoną mu klasę, nie później jak z początkiem drugiego półrocza roku szkolnego 1876/77 to jest od dnia 21 Grudnia (2 Stycznia) 1876/77 roku.

Uwaga. Kandydaci winni przesyłać swoje papiery i podania pod następującym adresem.

Do Dyrektora Warszawskiego Konserwaioryum Muzycznego, Prezydującego wKomitecie Konkursowym w Warszawie.

Naukowe.

— W tych dniach w m. Kowalu, powiecie Włocławskim, spadł deszcz obfity zabarwiony czerwonym kolorem. Deszcz ten zwany „krwawym,“ stał się przyczyną takiego przerażenia w mniej oświeconych klasach mieszkańców Kowala i okolicy, iż duchowieństwo wpływać musiało z ambon po kościołach na uspokojenie strwożonych. Kuryer Codzienny od jednego z obywateli otrzymał flaszkę deszczu owego i takową oddał w specyalne ręce dla bliższego zbadania. Pod mikroskopem widoczne są w płynie tym mocno czerwone kryształiki, po większej części podłużnych kształtów.

— Franciszek Szmayer, b. professor Seminaryum w Pułtusku, od lat kilkunastu mieszkaniec Syberyi, — ułożył zielnik gatunków rosnących w kotlinie gór Sajańskich na około Tunki. W tych samych okolicach proboszcz z Lutocina (z Płockiego) ks. Feliks Kowalewski, ułożył piękny i ciekawy zbiór ornitologiczny z rzadkich ptaków syberyjskich.

Дозволено Цензурою. Варшава 15 (27) Іюля 1876 г.

W Drukarni Władysława Dębskiego. Warszawa, Nr. 20.

Wydawca Korzeniowski.

Redaktor Henryk Perzyński.